

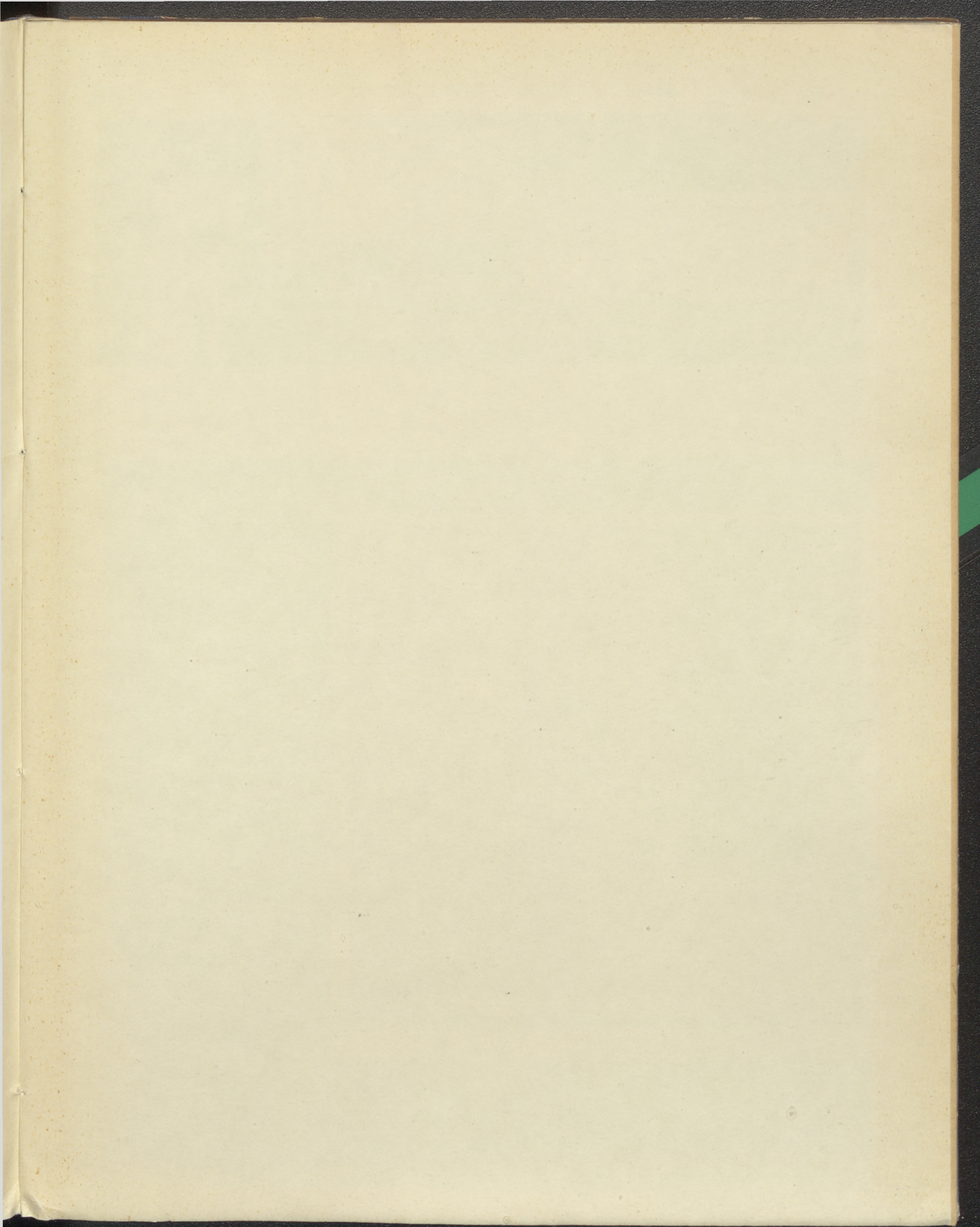


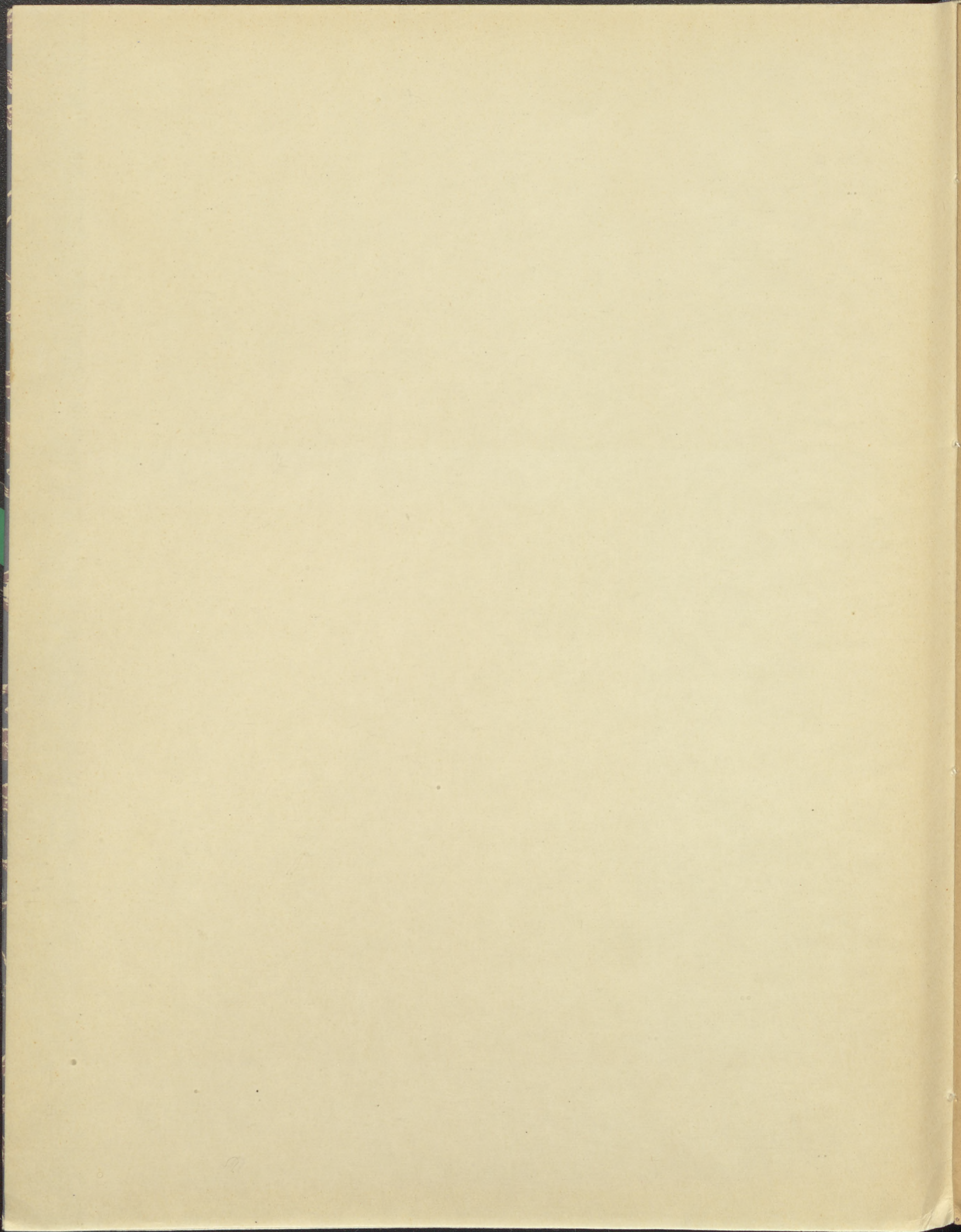
18

623405



This page is blank and contains no text.





Nr. 18.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

CZERWONA DAMA





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

CZERWONA DAMA

„Mała Francja“

Pewnego dnia, gdy Harry Dickson jechał przez zaniedbane ulice dzielnicy Poplar w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół, dziennikarza Jacka Fitzgeralda, ten ostatni zatrzymał samochód i wskazał na opuszczoną grupę domów, otoczonych ogródkami.

— Czy ci to nic nie przypomina, Dickson?

Detektyw spojrzał uważnie na górzysty teren i ogarnął wzrokiem dziką pielęgnowaną roślinność, nawpół zburzone szopy i małe, niewykończone jeszcze domki robotnicze, ciągnące się w stronę wzgórza Hern Hill. Mieszkania te dopiero budowane wydawały się jednak miłsze, niż te, które tworzyły kwadratowy blok, ponury i ciemny.

Drobny i zimny deszczyk przyciemniał nieco widok, rzadko zaludniona okolica wydawała się jakaś smutna, a promienie światła, zrzadka przebijające się pomiędzy chmurami nie oświetlały nic więcej, jak brzydotę i brud. Domki wskazane przez reportera były jednak trochę jaśniejsze, białe firanki w oknach nadawały im nieco weselszy charakter a ciepła zieleni drzew uśmiechała się w ogrodach.

— Czekaj, Fitzgerald, zdaje mi się, że sobie przypomina, jak przez mgłę... Historia jeszcze z przed wojny!... Czy to nie tutaj ci słynni „Zegarmistrze Śmierci“ urządzili sobie ostatnią kryjówkę, gdy musieli opuścić Houndsdith i Mile-End?

— Otóż to, Dickson. To była banda potwornych przestępców; upajali się widokiem cierpień swoich ofiar. Celowo przedłużali chwile ich agonii, posuwając się do ostatecznych granic ohydny.

— Przypominam sobie teraz. Była między nimi jedna kobieta, Czerwona Lilith, którą tak nazywano zarówno przez wzgląd na jej fatalne skłonności, jak i na znany nam gust. Pasjami lubiła szkarłatne suknie! Ich ulubiona zabawa polegała na tym, że pozostawiali przeznaczony na śmierć więźnia w ciastnej trumnie, obok bomby zegarowej. W tak ohydny sposób zgładzili niemało ofiar; wkońcu jednak dosięgła ich ręka sprawiedliwości i kat londyński rżnął z nimi sporo roboty. Siedmiu z nich skończyło na szubienicy, a inni zostali straceni do ponurych ciemnic Newgate.

— Sądze, że i ty prowadziłeś śledztwo w tej sprawie? — wtrącił reporter.

Harry Dickson nie odpowiadał, patrząc w zadumie na ciche domki, gdzie przed laty zakończył był całą tę ponurą sprawę, oddając Czerwoną Lilith i jej kamratów w ręce sprawiedliwości.

— Nie chciałbym mieszkać tutaj — ciągnął Fitzgerald — jestem Anglikiem i wierzę w duchy, albo w jakieś złe siły, które sprawują swoje ponure rządy w takich okolicach.

— Wielki cień, prawda? — odparł detektyw — atmosfera zbrodni, która przekracza ludzkie granice życia i śmierci? Nie będę ci przeczył. Nie umiałbym tego wyjaśnić, ale spotkałem się już z tym kilkakrotnie w mojej karierze. No, ale miejmy nadzieję, że to miejsce wolne jest od tego rodzaju podejrzeń.

W chwili, gdy kończył te słowa, drzwi jednego z domów otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna o ogromnej, herkulesowej postaci, lecz o ujmującej twarzy, który zbiegł szybko po niebieskich, kamiennych schodkach.

— Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie Harry Dickson! — zawołał z radością. — Cóż za szczęśliwe spotkanie! Spodziewam się, że nie masz zamiaru arestować nikogo w sąsiedztwie są to poczciwi, mili ludzie, mógłbym rzeczy za nich!

— Toż to Gaston Troye! — zawołał detektyw, wysiadając z wozu i biegnąc z wyciągniętymi rękami w stronę olbrzyma.

Inżynier Gaston Troye, Belg z pochodzenia, dostał się do Anglii podczas wojny, a po zawieszeniu broni nie wyjechał już. Ożenił się tutaj i pokochał swą nową ojczyznę. Harry Dicksona poznał na froncie, we Flandrii, gdzie detektyw spełniał niebezpieczną misję i Gaston Troye dzielnie mu sekundował.

Nastąpiła wymiana nazwisk i inżynier zaprosił nowych przyjaciół do siebie, aby się czegoś napić.

— Stara francuska jałowcówka, Dickson, prawdziwa Wambrechy, to dużo lepsze, niż wasza whisky!

— A propos, Gastonie, — powiedział Harry Dickson — mój przyjaciel Fitzgerald właśnie oświadczył mi uroczyście, że za skarby nie mieszkałby w tej okolicy, obawiając się duchów.

I powtórzył rozmowę, która przed chwilą toczyła się w aucie.

Gaston Troye zaśmiał się i pokazał swoje muskularne pięści.

— Miałbym czym przyjać tych ptaszków, — zapewnił, lecz nagle spoważniał. — Zresztą, któż to może wiedzieć? — mruknął.

— Pan Troye wie coś o tym! — zawołał dziennikarz. — Spójrz tylko, jak twarz mu się zmieniła, rzec można, chmura pokryła słońce!

Inżynier wzruszył ramionami.

— Brednie, — rzucił — lecz jeśli was to interesuje, posłuchajcie, co wam o tym powie moja żona. Hallo, Ireno!

Podszła do nich wysoka i elegancka brunetka, która przedstawiła się jako M-me Irena Troye. Spojrzała na męża z niezadowoleniem, prosząc go, aby nie śmiał się z tego, czego nie rozumie i nie docenia.

— Jeżeli Mr. Dickson chciałby usłyszeć coś o tym, — rzekła, — to pozwolę sobie zauważyć, że coś tu nie jest w porządku.

I miej odwagę mi zaprzeczyć, panie mężu!...

Ale mąż ograniczył się tylko do tego, że w zdumieniu potrzaskał głową.

— Oczywiście, to nie jest takie ważne, — przyznał, — ale to zaczyna mnie trochę denerwować i nawet miałem zamiar w najbliższych dniach donieść o tym policji. Mam samochód, małego „Austina“, od którego odnoszę się wprost z miłością. I oto, od kilku tygodni wciąż się coś w nim dzieje. Raz opony poprzecinane, raz magneto zepsute, innym razem znów razem w zbiorniku z benzyną — woda. Pilnuje, spędzam bezsenne noce i wówczas — nic. Kiedy tylko schodzę ze swego posterunku zaraz ktoś przecina mi opony.

— Przetrasnąłeś chyba garaż dokładnie, — rzekł Harry Dickson.

— Znam go, jak własną kieszeń, od czasu, jak tu mieszkam, — odparł inżynier, — niemniej jednak zacząłem gorączkowo badać ściany. Nie znalazłem jednak nic godnego uwagi.

— Mieszkacie tu od zakończenia wojny?

— Tak. I moi sąsiedzi również. Tworzymy tu małą kolonię wychodźców francuskich i belgijskich. Nadano nawet tej grupie domów nazwę „Małej Francji“. Żyjemy tu w błogiej harmonii i w idealnym spokoju. Muszę wam ich wszystkich sprezentować; Mme Emma Collard żyje raczej po to, aby jeść. W jej piecach pali się dniem i nocą dla jakichś skomplikowanych kulinarnych sztuczek. Jedynym zaś jej odpoczynkiem jest bezustanna paplanina z sąsiadami i sąsiadkami. Nie umiałaby zabić muchy, chyba, że ten owad byłby jadalny — wtedy zjadłaby go w potrawce. Obok niej mieszka Monsieur Bob Taupin z żoną Ewelina, para ludzi już po pięćdziesiątce, jednak tak zakochanych w sobie, jak w pierwszych dniach po ślubie. Poczciwi ludzie... Następnie Mme Laurencja Smiles, której mąż umarł przed kilku laty. Pozostała ona z małym synkiem Juleczkiem, zwanym Mickey - Mouse. Wreszcie ostatni z towarzystwa to stary, dzielny Piotr Lafutte, bardzo zamożny człowiek, który zdołał uciec do Anglii z niezłym majątkiem w momencie, gdy Niemcy wkraczali do jego posiadłości, w północnej Francji. Interesuje go tylko muzyka. Jest to nasz mędrzec: gdziekolwiek w sąsiedztwie powstaje jakiś spór, tam wzywa się zaraz kochanego p. Lafutte'a, aby pogodził powaśnione strony, a czyni to zawsze z ogromnym taktem. Życie

wydawałoby nam się tu niemożliwe bez tego czcigodnego staruszka. I sędzę, że między tymi ludźmi, którzy tak się lubią, szanują wzajemnie, nie znalazłby się nikt, zdolny do prześladowania swego sąsiada w taki sposób, jak to się dzieje ze mną.

— Ja nie oskarżam nikogo, — wtrąciła pani Irena, — ale p. Emma oskarża moje kury, że dziobią jej dynie i twierdzi, że dynia uszkodzona w ten sposób nie nadaje się już na zupę!

— Wobec tego, mój drogi Dicksonie, — zaśmiał się Gaston, — bądź łaskaw natychmiast zaarrestować Emmę Collard. Ona jedna może być przestępczynią!

Detektyw i dziennikarz wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Czy twoi sąsiedzi również byli w ostatnich czasach tak niepokojeni, jak ty? — zapytał Harry Dickson. — I czy mówiłeś im o swych przygodach?

— O niczym innym nie mówi, — odparł Gaston, — ale jeśli masz godzinę czasu, to chodź z nami na herbatę, którą p. Emma wydaje dla całej naszej „Małej Francji“. Nie mogę ci ręczyć, czy jako detektyw znajdziesz tam coś ciekawszego, ale jako psycholog — napewno.

Fitzgerald przyjął propozycję, Harry Dickson również zgodził się z uśmiechem.

W kwadrans później zadzwonił do bramy sąsiedniego ogródka, a pani domu wybiegła im na przeciw.

— Jesteście prawie ostatni, brak tylko tego spóźnialskiego Lafutte'a, który znów każe nam czekać na siebie.

— Przyprawia pan przyjaciół, panie Gastonie? Proszę bardzo, jeśli u mnie jest dosyć wszystkiego dla dziesięciu osób, to znajdzie się i dla dwudziestu.

Była to mała, rumiana, okrągła osóbką, która toczyła się raczej, niż chodziła, a gdy mówiła, odnosiło się wrażenie, że dźwięczy grzechotka. Prezentacja przypadła w udziale p. Irenie, która czyniła to z ogromnym zapałem.

— Proszę sobie wyobrazić: Jack Fitzgerald z „World Express'u“ oraz Harry Dickson, tak, moja droga, Harry Dickson we własnej osobie, serdeczny przyjaciel mego męża!

Mr. Bob Taupin, niski brunet, z radością przyjął słynnego gościa. Tutaj zaznaczyć trzeba, że pan Taupin był snobem i lubił chwalić się znajomościami. Ruchliwa pani Ewelina ukazała w uśmiechu rząd białych zębów i zaczęła domagać się, aby posadzono ją obok dziennikarza, który był bardzo przystojnym mężczyzną.

Pani Laurencja była śliczną, uśmiechniętą kobietą, co jednak nie przeszkadzało jej być bardzo surową matką i, między jednym wybuchem śmiechu a drugim, strofowała ostro biednego Mickey-Mouse'a, który majstrował paluszkami koło kremu i konfitur.

Towarzystwo zasiadło do obficie zastawionego stołu, a p. Emma uwijała się między gośćmi, gdy zapowiedziano spóźnionego gościa. Pan Piotr Lafutte wyglądał doprawdy przemiło. Mały i pochylony, w swoim szarym garniturze, wymuskany i czysty, jak z igielki, o starannie wypielegnowanej, miłej twarzy, z której patrzyły dobre, niebieskie oczy dziecka. Przyniósł ze sobą skrzypce, gdyż chętnie popisywał się swoim talentem; przyniósł dziś także kosztowny flet z kości słoniowej.

Zaraz wstawił się za nieszczęśliwym Mickey-

Mousem, który pokutował teraz w kacie za swoje przewinienia.

Harry Dickson chętnie skierował rozmowę na temat zmartwień swego przyjaciela, Gastona Troye. Wszystkie twarze zasepiły się.

— Jakiż to zły duch upatrzył sobie „Małą Francję“, aby zakłócić jej spokój?

Zdania były podzielone. Pani Emma oskarżała łobuzerię z Poplaru. Czyż nie zrabowano jej trzykrotnie najpiękniejszych selerów z jej warzywnego ogródka.

— I to jakich selerów, panie Dickson, ślinka przyszłaby panu do ust na samą myśl o nich, i pomyśleć, że zakończyły żywot w jakimś garnku na Poplar Walk!

Mr. Bob Taupin traktował rzecz całą sceptycznie i widać było, że jego zdaniem, Gaston Troye przesadza trochę. Panie Laurencja i Ewelina sądziły, że to sprawka złych duchów, jedynie Piotr Lafutte zachował równowagę.

— Nie wiemy nic i nie mamy prawa urabiać sobie zgóry zdania. Trzeba szukać i szukać, cierpliwie i bez wytchnienia. Takie rzeczy wydają się tajemnicze do chwili, gdy się je rozpatrzy ze zdrowym rozsądkiem, a tego nie uczyniliśmy jeszcze do dzisiejszego dnia.

Harry Dickson spojrzał na niego z sympatią.

— Detektyw nie mógłby lepiej tego wyrazić, panie Lafutte, — rzekł.

— Trzy razy ktoś gwizdał „Bon Roi Dagobert“ w moim pokoju, w nocy — powiedziała Ewelina — i jestem pewna, że to był duch, których zresztą tak wiele błaka się po Anglii.

— Śniło ci się, pewnie, droga Ewelino, — odparł łagodnie p. Taupin, gdyż inaczej sżyszałbym to, tak, jak ty.

— Ty, ty, Taupin? Ależ ty śpisz kamiennym snem; gdyby sam Big Ben dzwonił z całej siły nad twą głową, uważałbyś napewno, że to mucha brzęczy.

— Ja mam nabity sześciostrzzałowy rewolwer — oświadczyła groźnie pani Emma, zatapiając zęby w ogromnym kawałku jabłeczniaka — jeżeli ktokolwiek ośmieli się raz jeszcze skraść seleri z mojego ogródka — dwa strzały i już po nim! Dyskusja była skończona i Piotr Lafutte ujął skrzypce.

— Brawo, prawdziwy Stradivarius! — zawołał Harry Dickson, oglądając wspaniałe instrument.

Staruszek uśmiechnął się z czułością.

— Autentyczny, panie Dickson, to ma pewną wartość.

— Pewną wartość? Jest par zbyt skromny! Mówiąc bez przesady, sądzę, że wart jest sto tysięcy francuskich franków.

— Dokładnie, sto siedemdziesiąt pięć — odparł z prostotą starzec.

Popłynęły uroczę dźwięki... Grieg, potem Beethoven... Harry Dickson słuchał w zachwycie, ale panie domagały się muzyki mniej klasycznej. Artysta nie dał się prosić. Walce Waldteuffla i Lehara przyjęto z ogólnym zadowoleniem. Wszyscy słuchali, nikomu czas się nie dłużył. Zapadł wieczór — zapalono światła. Mr. Lafutte, nieco zmęczony, poświęcił się jednak dla Mickey-Mouse'a i wycinał mu zabawne figurki z papieru.

Harry Dickson i jego towarzysz pożegnali się.

— Prawdę mówiąc, nie wyczuwam tu zupełnie atmosfery zbrodni — przyznał, żegnając się z Ga-

stonem, — jednak za najmniejszym podejrzeniem zatelefonuj do mnie, a przybędę. Dobranoc, stary przyjacielu!

Zatelefonowano do niego po dwóch dniach.

Wielki cień pojawia się

Harry Dickson, skupiony i poważny, z cieniem strachu w oczach, oglądał uważnie pokój, który należał niegdyś do p. Boba Taupina.

Ale p. Bob Taupin nie żył już.

Leżał na wznak, na łóżku splamionym krwią, ramiona miał rozkrzyżowane, pięści zaciśnięte, a twarz, na której śmierć wyryla już swoje piętno, wyrażała najwyższe przerażenie. Harry Dickson spojrzał na ranę, przez którą uciekło życie tego poczciwego człowieka. Narzędzie zbrodni tkwiło jeszcze w sercu. Lecz pewna rzecz szczególna cechowała ten sztylet. Był on długi i cienki, lecz brak było rękojęści. Pozostał jednak trzonek i ostry koniec, który powinien był przytrzymać rękojęść. Możliwy przypuszczać, że zbrodniarz, chcąc jedynym ruchem wyciągnąć broń z rany, zabrał tylko górną część, pozostawiając w pośpiechu ostrze w ciele ofiary.

Harry Dickson rozmyślał.

Śmierć musiała nastąpić błyskawicznie, a jednak twarz zmarłego wyraża nieopisane przerażenie. Przypominam sobie, że Mr. Taupin, według słów jego małżonki spał snem kamiennym. Czy widział więc swego oprawcę, zbliżającego się ku niemu. Czemu nie bronił się? Nie ma w całym pokoju najmniejszego śladu walki. Ciało nie doznało żadnych wstrząsów, tylko te dłonie zaciśnięte w krótkiej agonii! Ale jego twarz! Ten wyraz bezgranicznego przerażenia...

Atmosfera... wielki cień...

W tej chwili Harry Dickson pomyślał o strasznych „Zegarmistrzach Śmierci“, którzy ofiarom swoim zadawali okropne tortury moralne, zanim ostatecznie pozbawiali je życia. A jednak nic, prócz tych tragicznych zwłok nie nasuwało podejrzenia zbrodni w tym wypadku.

Z dołu dochodziły skargi i płacze Eweliny. Słyszało się Gastona Troye, który napróżno starał się ściszyć swój potężny głos, zdusić przekleństwa, cisnące mu się na usta i wciąż wyrzucał z siebie pogroźki pod adresem nieznanym morderców.

Potem M. Lafutte, tonem nieco spokojniejszym próbował uspokoić wdowę zdrowym rozsądkiem. Powiew wiatru przyniósł zapach smażonego mięsa i cebuli, bezwątpienia z sąsiedniego domu p. Emmy. Auto policyjne cicho warczało przed brama. Harry Dickson podszedł do okna i podniósł ciężką zasłonę z ciemnego aksamitu. Okno było dokładnie zamknięte, nie nasuwało żadnych podejrzeń, jak zresztą cały pokój. Ulica była spokojna, gdyż „Mała Francja“ położona była na krańcu miasta. Z boku, na drodze, prowadzącej do Herne Hill świeciły się lampy nowego garażu.

Detektyw zastukał w szybę i dał znać agentowi policyjnemu, aby wszedł na górę.

— Pozostań tu w pokoju, Whitney, podczas gdy ja zejdę na dół przesłuchać panie. Nie znalazłeś nic?

— Nic, Mr. Dickson, zupełnie nic.

Zegar wybił wpół do drugiej.

— Czy garaż, który tu widać, otwarty jest przez całą noc?

— Tak, Mr. Dickson. — Policjant czuwa zawsze na tej ulicy; pytałem go, lecz on nic nie zauważył, a nie opuścił swego posterunku od 9-tej godziny. Złuzował wtedy kolegę, który przedtem także nic nie widział.

— Dobrze, pozostań więc tutaj.

Harry Dickson zszedł do salonu, gdzie zgromadzili się wszyscy mieszkańcy „Małej Francji“.

— Drogi Gastonie, — zwrócił się do przyjaciela, — powtórz mi przebieg zdarzeń tego wieczoru.

Inżynier skinął głową.

— Każdej środy — rozpoczął — Mr. Lafutte zabierał nasze panie do teatru na Drury Lane. Jedyne p. Emma nie towarzyszyła im, gdyż wolała pozostać u siebie w kuchni i przygotowywać kolację na ich powrót; opiekowała się również wtedy Mickey - Mousem. Wyruszyliśmy stąd o siódmej. Ja nie chodzę do teatru, lecz do klubu, na High Street, a potem wracam, aby spotkać ich przy wyjściu i odwieźć do domu. Następnie wszyscy spożywamy kolację u Emmy. Bob Taupin nigdy nie jadał z nami. Był on bardzo wstrzemięźliwy w jedzeniu i wystarczało mu trochę owoców przed udaniem się na spoczynek. Dziś odbyło się wszystko tak, jak zawsze. Pan Taupin pożegnał się z nami na progu domu i... wiesz już, w jakim stanie odnaleźliśmy go.

— Czy to pani odnalazła go, Madame? — zwrócił się Harry Dickson do Eweliny, wciąż zalewającej się łzami.

— Tak; po powrocie z teatru weszłam do domu, aby się przebrać. Znalazłam mego biednego Boba...

Potok łez przerwał jej opowiadanie.

— Więc pani była zupełnie sama w całej „Małej Francji“, p. Emmo?

— Jak zwykle. Byłam u siebie w kuchni, gdyż przygotowywałam tego wieczoru pasztet gołębi, który wymaga specjalnie dużo uwagi. Mickey-Mouse był bardzo niegrzeczny i ciągle płakał, więc nic nie widziałam i nie słyszałam.

Harry Dickson siedział nieporuszony. Nie natrafił na najmniejszy nawet ślad.

Zapukano do drzwi. Był to agent Whitney, który stał na warcie w pokoju zamordowanego.

— Mr. Dickson, czy próbował pan już otworzyć dłoń zmarłego? — zapytał. — Zdaje mi się, że trzyma on coś w ręku.

Harry Dickson poszedł za agentem i, rozluźniwszy palce Taupina wyjął z pomiędzy nich mały kawałek zwykłego sznurka, którego jeden koniec wyglądał, jak gdyby oderwany był silnym pociąganiem.

— Zwykły sznurek, — mruknął detektyw, pocierając czoło w zamyśleniu, — być może, nie znaczy on nic, być może — bardzo dużo...

Zszedł nadół i pokazał go Ewelinie.

— Czy miała pani sznurek tego rodzaju w domu?

Nieszczęśliwa kobieta potrząsnęła obojętnie głową.

— Jest pudełko sznurków w kuchni, Mr. Dickson, jedyne, jakie posiadam.

Harry Dickson obejrzał je; już na pierwszy rzut oka spostrzegł, że znaleziony w dłoni zmarłego skrawek różni się całkowicie od wszystkich.

— Sznurek pochodzi z zewnątrz, — mruknął, — uchwycił go w chwili śmierci, gdyż kawałki przylegają jeszcze do skóry.

Spojrzał przez szkło powiększające. Zauważył, że sznurek był tłusty, przepojony oliwą. Oliwa od

maszyny do szycia — zakomunikował. Przysunął łupę bliżej, do małego przedmiotu. Jeden koniec był równy, jakby już dawno odcięty, ale drugi postrzępiony, musiał być oderwany gwałtownym ruchem.

Harry Dickson wszedł na piętro. Przeszedł przez tragiczny pokój i wszedł do pokoju, gdzie mieściła się rupiecarnia. Obejrzał dokładnie podłogę, tak, jak oglądał sufit w pokoju zamordowanego; nic. Nieco rozczarowany, udał się znów do mieszkańców „Małej Francji“.

— Mój biedny Gastonie, — rzekł, — nie spodziewaj się, że mgła tajemnicy rozwiewa się w chwili, gdy detektyw odnajduje włos, kawałek gazety, lub skrawek sznurka, jak w tej chwili. Nie zrobiłem najmniejszego odkrycia, do kogo ten sznurek mógł należeć. Patrz, przyniosłem go.

— Nie wiem, czy uda ci się związać nim zbrodniarza! — westchnął herkules z posepną miną.

Pani Irena zabrała Ewelinę na noc do siebie, Laurencja zaś, bojąc się samotności, pozostała u pani Emmy.

— A ty, Dickson? — spytał Gaston.

— Ja zostanę, przyjacielu, jestem przecież na służbie!

— Czy mam pozostać z panem, Mr. Dickson? — zapytał Mr. Lafutte, który przez cały czas rozmowy trzymał się na uboczu.

— Ależ nie, drogi panie, pan również musi odpocząć, a ja lubię być sam, aby móc spokojnie wszystko przemyśleć.

Wszyscy odeszli — Harry Dickson pozostał sam.

Z górnego piętra dochodził odgłos przyciszonych kroków Whitneya, później i inne odgłosy przedarły ciszę nocną. Rozmowa dwóch głosów u Emmy, przy akompaniamencie syku masła na patelni: ani wzruszenia, ani spóźniona pora nie zdołały zagłuszyć potężnego apetytu pulchnej damy; kilkakrotnie odezwał się dźwięk dzieciennego głosiku: Mickey-Mouse nie zasypiał łatwo, a dłoń matczyna energicznie starała się wpoić weń zamilowanie do snu. W dali lkały skrzypce cicho, rozdzierająco, żalobnie; natchnienie nawiedziło zapewne pana Lafutte'a.

Auto policyjne odjechało, zostawiając jednego człowieka na straży przed brama.

Skrzypce rozpoczęły potężną pieśń; przeciągła skarga popłynęła w nocną ciszę. Nagle coś strasznie wyrwało detektywa z zamyślenia. Na piętrze rozległ się głuchy krzyk, jęk przerażenia, i ciężki odgłos padającego ciała. Detektyw wbiegł jak szalony na schody i otworzył drzwi.

Agent Whitney konał, leżąc na dywanie z podciętym gardłem. Z ust jego wydarł się jeszcze przerażony okrzyk:

— Głowa! Głowa!

Potem wyprężył się i zastygł w bezruchu, martwy.

Tym razem nie było nawet narzędzia zbrodni, lampy paliły się, jak przedtem... Nic, zupełnie nic!

Harry Dickson odczuł w tym momencie, że bliższy jest obłędu.

Na jaki ślad natrafił dotychczas! Kawałek sznurka, krzyk przedśmiertny: głowa. I tylko tyle dla wyjaśnienia tej podwójnej zbrodni...

Wtem, wśród ciszy nocnej rozległy się tony skrzypiec o akcentach głębszych jeszcze, jak gdyby żegnały i drugą trumnę nad otwartym grobem. De-

tektyw zakrył twarz dłońmi i nagle poczuł się słaby i bezradny w walce z tą niewidzialną siłą; lzy wściekłości, lzy bezbronnego dziecka wypełniły mu oczy.

Udaremniiony zamach

Od ośmiu dni padały ulewne deszcze. Londyn niknął w gęstej, wilgotnej mgle. „Mała Francja“ jakby skurczyła się z jakąś niechętną rezygnacją. Wicher i ulewy zniszczyły nawet zieleń ogródków.

Gaston Troye z żoną byli nieobecni. Dom stał się im niemiły, korzystali więc z najmniejszej okazji, aby odbywać długie wycieczki autem, co odrywało ich na pewien czas od nieszczęść, których byli świadkami. Ze swego punktu obserwacyjnego Harry Dickson widział, jak odjeżdżali, gdyż Dickson obserwował wszystkie domy, nawet swego przyjaciela Troy'ego, sam nie będąc widziany.

Od czasu zbrodni nie opuszczał garażu, położonego naprzeciw. Co pewien czas zastępował go Tom Wills, jego uczeń, lecz raporty były wciąż identyczne: nic nowego, nic ciekawego.

Właściciel garażu, Ben Waters, który często oddawał usługi Scotland Yardowi, zwłaszcza, gdy chodziło o kradzieże samochodów, ułatwił mu zadanie, ofiarując dogodne miejsce przy oknie, za grubymi firankami.

Dochodziła czwarta. Deszcz wzmagał się z każdą chwilą. Pani Laurencja wraz z panią Ewelina, blada i mizerna w swojej żałobnej sukni, wyszły z domu, kierując się w stronę szkoły Mickey-Mouse'a. Gdy przechodziły koło domu p. Lafutte'a, starzec ukazał się w drzwiach. Zamienili kilka słów, poczem p. Lafutte spojrział na zachmurzone niebo, potrząsnął głową i wrócił do domu. „Mała Francja“ pogrążyła się w swym zwykłym spokoju. Detektyw rozmyślał ze swą nieodłączną fajką w ustach, patrząc przez okno na domostwa.

Nagle doznał dziwnego uczucia. Czuł, że jest przez kogoś uważnie obserwowany z jednego z okien. Ale z którego? Skrył się za firankę i obejrzał dokładnie, po kolei: wszystkie fasady. Wreszcie spostrzegł: zza jednej z szyb migotało podwójne światelko lornetki, skierowanej w stronę garażu. A okno, z którego go obserwowano, mieściło się na drugim piętrze domu Troye'ów, których sam przecież widział przed niespełną godziną, odjeżdżających autem!

W tej chwili gotów był uwierzyć, że postradał zmysły. Ale promień światła padł nagle na szkła lornetki, które rozbłysły, jak dwoje ogromnych oczu. Nagle znikły i firanka zadrgała.

Detektyw wiedział, gdzie pp. Troye znajdują się obecnie. Natychmiast wezwał ich telefonicznie do powrotu, a gdy przybyli, opowiedział pokrótce, co zaszło.

Auto zatrzymało się przed domem.

— Zachowujcie się, jak gdyby nic nie zaszło, — rzekł Harry Dickson — trzeba, aby nikt z sąsiadów nie domyślił się niczego.

— Mój Boże, panie Dickson, — jęknęła p. Irena — chyba nie podejrzewa pan nikogo z naszych sąsiadów!

— Ja podejrzewam wszystkich i nikogo, — odparł Harry Dickson — aż do chwili, gdy znajdzie prawdziwego przestępcę.

Weszli na piętro, do pokoju, z którego obserwowano detektywa. Pani Irena wydała okrzyk oburzenia:

— Kto się ośmielił!...

Wskazała palcem małą, tustą plamę na parapiecie okiennym. Harry Dickson spojrział. — Świeża oliwa — mruknął.

— Oliwa od samochodu? — zapytał Gaston.

Detektyw potrząsnął przecząco głową.

— Dobra oliwa od maszyny do szycia, — rzekł.

Myślał chwilę, zmarszczywszy czoło.

— Ta sama, którą przesycony był sznurek znaleziony w ręce Boba Taupina, po jego śmierci — rzekł cicho.

★

Gaston Troye nie pozwolił Dicksonowi odejść i przymocował niemal zatrzymał go na herbatce. Detektyw zgodził się i pijąc, rozmyślał:

— Rozpatrzmy sytuację mieszkańców „Małej Francji“. Są oni oddzieleni od całej dzielnicy pustymi terenami i rozpoczętymi budowlami. Mury od tamtej strony są bardzo wysokie i nie można się w żaden sposób przez nie przedostać. Od strony fasad zaś musiałoby się wejście odbyć wprost przed oczami detektywa, który przecież nie odwracał wzroku ani na chwilę. Domy są nie dawno budowane, przypuszczalnie nie posiadają żadnych ukrytych przejść, pozostałych po dawniejszych mieszkańcach.

Harry Dickson zbadał szczegółowo mury i podsadzki suteryn, lecz nie znalazł tam nic podejrzanego. A jednak tajemniczy przestępca nie mógł przecież przechodzić poprzez mury!

To wystarczyło właściwie, aby wykluczyć wszelkie możliwości, ale Harry Dickson rozważał nawet niemożliwości.

A jeśli w jakimś niemożliwym, a raczej nieprawdopodobnym wypadku ktoś z mieszkańców „Małej Francji“ jest przestępcą?...

W czasie pierwszej zbrodni, pp. Troye, p. Lafutte, p. Laurencja i p. Ewelina są nieobecni. Liczni świadkowie widzieli ich, czy to w teatrze, czy w klubie na High Street. Jedynie p. Emma pozostała w „Małej Francji“.

W czasie drugiej zbrodni pp. Troye, p. Ewelina, p. Laurencja i jej syn zebrani są u p. Emmy. Piotr Lafutte jest u siebie, na końcu szeregu domów, ale Harry Dickson słyszy wciąż jego grę na skrzypcach, a wartownik na ulicy widzi go zresztą, przechadzającego się ze swym ukochanym Stradivariusem w oknach pierwszego piętra. Nikt więc z mieszkańców „Małej Francji“ nie mógł dokonać zabójstwa agenta Whitneya. Dzisiaj jedynie p. Lafutte był u siebie, oraz p. Emma, której dom przylega do siedziby Troye'ów. Myśl ta była co najmniej niepokojąca, ale gdy Dickson pomyślał o poczciwej, pulchnej damie, z trudem pohamował uśmiech.

A więc kto? Było to dręczące pytanie. Harry Dickson zmuszony był przypuszczać, że nieznany zbrodniarz przychodził z zewnątrz. Ale jak? I w jakim celu?

Plucha londyńska działała jeszcze bardziej przynębiająco na zdenerwowanego detektywa. Opuścił głowę, kosztowało go to dużo zdrowia, że czuł się bezsilny, zwłaszcza wobec przyjaciół, których spojrzenia bez słów prosiły go o opiekę.

— Jeśli to się powtórzy, wyprowadzę się stąd — oświadczył Gaston.

— To byłby środek radykalny, — rzekł Harry Dickson — ale nie chciał bym widzieć was uciekających przed tym nieznanym wrogiem. Mam dla was

lepszą propozycję: powiedzcie wszystkim, że wyjeżdżacie do jakiegoś pobliskiego miasta, dokąd wzywają Gastona interesy.

— To jest myśl; rzeczywiście powinienem pojechać do Douvre'u dokąd zaproszono mnie, jako doradcę technicznego, a moja żona oczywiście będzie mi towarzyszyć!

— I niech się pan nie obawia o dom, pani Ireno, nie pozostanie on pusty. Uczeń mój, Tom Wills, zamieszka tutaj podczas waszej nieobecności. To bardzo spokojny chłopiec, zapewniam panią, że najbliższy sąsiad pan nie będzie wiedział o jego obecności. Dziś w nocy specjaliści ze Scotland Yardu przyjadą założyć tu telefon i nikt tego nie spostrzeże, gdyż nie będzie żadnych sznurów w powietrzu, lecz pod ziemią. Aparat będzie brzęczał, albo będzie zapalała się lampka, a więc żaden dźwięk dzwonka nie będzie przez nikogo słyszany. Kiedy chcielibyście wyjechać?

— Jutro, jeśli ci to odpowiada, — odparł Gaston.

Zapadł cichy, spokojny wieczór; skrzypce p. Lafutte'a łkały... Jego requiem, poświęcone pamięci p. Taupina, unosiło się w powietrzu, jak długa i przeciągła skarga, której akompaniował plusk deszczu.

— Niech pan nie odchodzi jeszcze, panie Dickson, — prosiła p. Irena.

— Dobrze, — odpowiedział detektyw, — oddał się tylko na kilka minut, aby zadzwonić do Scotland Yardu w sprawie założenia aparatów akustycznych. Pójdę do garażu i zaraz wrócę.

Gdy po paru minutach wracał do Troye'ów, spostrzegł na ulicy jakiś niepokój. Pani Laurencja, trzymając Mickey Mouse'a za rękę, dzwoniła do drzwi Gastona.

— Mr. Dickson jest tutaj, prawda? Niech przyjdzie prędko! — krzyczała podnieconym głosem.

— Jestem tu! — zawołał detektyw, podbiegając do niej.

— Mickey widział...

Ale chłopczyk, dumny z tego, że może coś powiedzieć, przerwał jej:

— Widziałem czerwoną damę, jak bawiła się moim pociągiem mechanicznym! — zawołał swoim cieniutkim głosem.

— Jaką czerwoną damę, mój mały? — zapytał Harry Dickson.

— Czerwoną damę, no... Ja jej wcale nie znam, ale ona ma piękną suknię i bawiła się na werandzie moim pociągiem mechanicznym i ja chciałem bawić się razem z nią i nagle już jej nie widziałem.

Pani Laurencja wtrąciła się:

— Ja nie zajmuję tej werandy, ale chłopiec bawi się tam podczas niepogody. Pięć minut temu przyszedł zapytać mnie, której wyszła ta czerwona dama, która nie chciała się z nim bawić jak mówił...

— Ona jest niedobra, — popłakiwał chłopczyk, — ja powiedziałem tak: „Ja będę naczelnikiem stacji”. Ona chyba nie chciała, bo nagle wyszła.

— Któredy?

Mickey-Mouse wzruszył chudymi ramionkami:

— Nie wiem... wyszła.

— Pójdę z panią, Mrs. Smiles, — rzekł detektyw.

Weranda nie zasługiwała na tak szumne miano. Był to mały pokój o szklanym dachu, zastawiony tylko zabawkami. Gdy Dickson oglądał go, usły-

szął odgłos uderzenia i po raz setny chyba Mickey-Mouse zaczął płakać.

— To cię oduczysz od brudu! — gromiła go matka.

— To nie ja, to pociąg jest brudny, to ta czerwona dama to zrobiła! — szlochał chłopiec, pokazując zabrudzone rączki.

Harry Dickson ujął je w swoje dłonie i okrzyk wściekłości wydarł się z jego ust.

— Oliwa od maszyny do szycia! — zawołał. — Toż to prawdziwe przekleństwo.

Gwałtownym ruchem odsunął chłopca, zbliżył się do mechanicznej zabawki, spojrzął i...

Z okrzykiem przerażenia wybiegł z domu w stronę pustego pola i odrzucił zabawkę jak najdalej.

Dał się słyszeć głośny huk i płomień wystrzelił wysoko w górę.

Mały pociąg mechaniczny Mickey-Mouse'a był literalnie wypełniony dynamitem!

Maszyna piekielna

Tom Wills nudził się śmiertelnie.

Włożył na nogi grube, filcowe pantofle, które mu pozwalały krążyć bez szmeru w domu Troye'ów, gdzie był obecnie jedynym mieszkańcem. Urządził sobie kwatery w salonie na piętrze, gdzie zainstalowany był tajemny telefon i tam ustawił swój szeslong. Przez firanki z podwójnego muslinu mógł obserwować ulicę, sam nie będąc widziany. Czas dłużył mu się, zaczął więc zapisywać uwagi w notesie.

„Pani Ewelina złożyła wizytę p. Emmie. Co za cudowny zapach smażonej cebulki!

Mickey-Mouse płacze po raz nie wiadomo który. Może byłoby lepiej, gdyby wyleciał w powietrze razem ze swą mechaniczną lokomotywą. Pan Lafutte zmienił instrument i gra teraz na flecie. To jest właściwie moja jedyna rozrywka!

Przeczytałem potrochu całą bibliotekę Gastona Troye; część przygód mego mistrza, Harry Dicksona które ja znam lepiej, niż ten, kto je napisał; dwie książki awanturnicze, gdzie brakuje kilka stron, jakieś dzieło z zakresu mechaniki oraz dość grubą książkę kucharską, należąca do p. Emmy, o czym świadczy napis na pierwszej stronie tego dzieła. Cóż tam wyczytałem? O pieczeniu gołąbków! I dla mnie, który nie mam co włożyć do ust, prócz sandwiczów i sera, było to okropne.

Cudownie... zapach cebuli zastąpiła teraz delikatna woń rumowego kremu. Wiem, prawdopodobnie będzie on upiększał pudding!”

Nagle czerwone światło zapaliło się na jego nocnym stoliku.

— Hallo, Tomie, — usłyszał ściszony głos Harry Dicksona, — czy nic nowego?

— Panj Emma robi plum-pudding, a Mickey-Mouse dostał lanie.

— To wszystko?

— Nie, p. Lafutte gra „Nad pięknym medrym Dunajem”.

— Nadzwyczajne, a poza tym?

— Nie gra on teraz na skrzypcach, lecz na klar-necie.

— Dobra noc, Tomie!

— Good night, mistrzu!

Noc zapadła deszczowa i wietrzna. Młody człowiek rzucił ostatnie spojrzenie na ulicę, zanim zasnął ciężkie firanki, nie przepuszczające na zewnątrz ani jednego promienia światła.

ŚMIECH TO ZDROWIE!

Salwy śmiechu wywołują arcydziełne przygody najznakomitszych komików ekranu.
W ilustrowanym albumie

PAT I PATACHON

SERIA VII.

Wybór anegdot i dowcipów
Do nabycia wszędzie

CENA 30 GR.

Przed garażem świeciły smutnie okrągłe lampy pomp benzynowych. Zasunął story, zapalił małą lampkę przy wezglowiu i przygotował sobie ostatnią książkę. Potem z rewolwerem w dłoni zrobił przegląd całego domu. Panował tu zupełny spokój, wielki flamandzki zegar ścienny znaczył sekundy szmerem wahadła. Skończywszy obchód powrócił do swego pokoju i zabrał się do czytania. Zasnąć nie było mu wolno; nazajutrz będzie go zastępował jego mistrz i wtedy odrobi sobie stracony sen. Jednak głowa poczęła mu ciążyć i zdawało mu się, że powietrze było szczególnie duszne. Postanowił uchylić drzwi, aby wpuścić odrobinę świeżego powietrza.

Rzecz zdumiewająca! Gdy chciał się rodniesić, poczuł jakieś dziwne odrętwienie, przygważdżające go do posłania, książka wyslizgnęła mu się z bezwładnych rąk, mrowie przechodziło mu po nogach, ale nie był zdolny do poruszenia się, aby wyzbyć się tego strasznego uczucia. Miał przeczucie grożącego mu niebezpieczeństwa, czegoś, co czyniło go bezbronny wobec nieprzyjaciela, niewidocznego jeszcze, lecz już bardzo bliskiego. I wówczas z trwogą nie do opisanego spostrzegł, że drzwi tworzyły się i wolno, bardzo wolno dalej się otwierały. Z zewnątrz słyszał tylko smętne dźwięki melodii Schuberta.

Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, aby ująć telefon, ale ten ruch był zupełnie dla niego niemożliwy; członki jego były jak z ołowiu. Chciał krzyknąć, ale zabrakło mu oddechu z przerażenia. Ruchy drzwi na chwilę ustały, po czym zaczęły się na nowo, z tą samą powolnością. Ktoś wszedł do pokoju.

Przed nim stała Czerwona Dama.

★

Harry Dickson i jego uczeń postanowili komunikować się z sobą telefonicznie w oznaczonych odstępach czasu. W swoim gabinecie na Baker Street detektyw przeglądał obszernie tomy, złożone z samych tylko wycinków gazet, opisujących wszystkie zbrodnie, popełnione w Londynie od kilku lat. W pewnej chwili podniósł głowę i spojrzał na mały zegarek, stojący na biurku. Uczynił gest niezadowolonia: Tom Wills spóźnił o dziesięć minut, wyznaczony termin sygnału. Czyżby zasnął? Harry Dickson nie mógł w to uwierzyć. Tom nigdy jeszcze nie przekroczył zakazu: „nie zasnąć“.

Poprosił Scotland Yard o połączenie i niebawem otrzymał odpowiedź:

— Aparat nie odpowiada, Mr. Dickson.

— Proszę użyć sygnału brzęczącego, zamiast lampy!

Po paru minutach odpowiedziano:

— Nikt nie odpowiada!

Harry Dickson nie wahał się ani minuty dłużej. Skoczył do auta i ruszył pelajm gazem w stronę

Poplaru. Z obu stron wozu szumiały potoki deszczu.

— Cóż ma oznaczać to milczenie? — mruzczał do siebie detektyw, — czemu on nie odpowiada?

Motor, jak gdyby pochwylił to pytanie i zdawał się powtarzać zgrzytem swych tłoków:

— Cze mu on nie od po wia da?

Poprzez strugi deszczu ukazały się wreszcie światła garażu Watersa, ustały jęki motoru i Harry Dickson wyskoczył na chodnik.

— Możliwe, że umieszczając aparaty w pościechu, uczyniono jakiś defekt, — mówił sam do siebie i myśli ta dodała mu odwagi do otwarcia drzwi i udania się na pierwsze piętro.

Dom był pogrążony w ciszy a zegar flamandzki tykał samotnie w ciemnościach westibulu. Dickson słyszał jednak jakiś inny jeszcze szmer, dochodzący z pierwszego piętra. Brzmiało to, jak miarowe tiktak, jakby mały młoteczek szybko uderzał wśród nocnej ciszy. Dźwięk ten, którego zupełnie nie umiał określić, napełnił go przerażeniem. Doszedł do małego saloniku i pchnął drzwi. W pokoju słychać było ten sam dziwny dźwięk, lecz głośniejszy jeszcze.

— Tom! — krzyknął Harry Dickson.

Nie było odpowiedzi...

Dłoń detektywa gorączkowo poszukiwała kontaktu elektrycznego i przekreśliła go. I zobaczył...

Znalazł się przed jedną z tych straszliwych scen, które tak wślawiły morderców z Houndsditch dwadzieścia pięć lat temu.

Tom Wills leżał wyciągnięty na szeszlunku, związany, z kneblem w ustach z oczami rozszerzonymi przerażeniem i oczekiwaniem. Ustawiona przed nim, drgała maszyna piekielna.

Harry Dickson znał ją dobrze; nie miała ona nic wspólnego z bombami zegarowymi dawnych anarchistów. Była to machina eksplodująca dźwiękami „Zegarmistrzów Śmierci“. Potężny mechanizm zegarowy zaopatrzony był w mały młoteczek, który w oznaczonym momencie uderzał w kapiszon. Ten, zapalając się, ogarniał płomieniem knot z prochem, który palił się jeszcze kilka minut, zanim dosięgał samej bomby, t. j. ciężkiego cylindra z żelaza, zakończonego otworem. Było to wyrafinowane okrucieństwo, gdyż ofiara przechodziła dwie fazy przerażenia: pierwszą, gdy oczekiwała zapalenia się knota, i następną, gdy oczekiwała śmierci. Gdy lampa pod sufitem zapaliła się, mały młoteczek opadał i sznurek zaczynał rozpuszczać się z ostrym gwizdem. I już niebieskie płomyki pełzać poczęły wzdłuż żelaznego cylindra.

Lecz detektyw zdusił je nogą i w minutę później wieży i knebel Toma Willsa zostały usunięte.

— No i cóż, mój mały?

Potrzeba było jednak trochę czasu zanim młody człowiek odzyskał równowagę i mógł opowiedzieć o swej strasznej przygodzie.

Czerwona Dama nagle pojawiła się przed nim, gdy nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu; była ubrana starannie, podług mody z zeszłego stulecia: nosiła jaskrawo czerwoną spódnicę, kapelusz z kwiatami, woalkę w groszki, za którą Tom widział Twarz siną i nieruchomą, włosy farbowane, jakie nosiły piękności ówczesnych czasów. Stanik miała biały w czerwone supły; wydawał on silny zapach naftaliny, jak gdyby długo i starannie był przechowywany.

Nie powiedziała ani słowa. Długo przyglądała się młodemu mężczyźnie, potem rękami w rękawic

cach z zadziwiającą zręcznością skrępowała go sznurami i włożyła knebel w usta. Gdy zajęta była tymi przygotowaniami, Tom słyszał, jak oddychała z trudem, jak gdyby praca ta przewyższała trochę jej siły. W tym momencie Tom poczuł, że odrętwienie, które paraliżowało mu ruchy, zaczęło ustępować, ale obecnie był już tak skrępowany, że nie robiło mu to już żadnej różnicy.

Gdy już wszystko było gotowe, Czerwona Dama wyszła z pokoju i powróciła po chwili ze swą szatańską machiną; wprawiła ją w ruch z zupełnym spokojem, nie śpiesząc się ani trochę.

Mechanizm zaczął działać z gwałtownym szumem; kobieta potrasnęła głową z zadowoleniem i nie spojrzawszy nawet na człowieka, którego wydała na pastwę okrutnej śmierci, oddaliła się.

Takie było opowiadanie Toma Willsa, który ocalenie swoje zawdzięczał jedynie mądrej ostrożności swego mistrza: regularnej wymianie telefonów.

Harry Dickson dał swemu uczniowi do wypicia spory łyk koniaku i zabrał się do ogładania bomby. Okrzyk zdumienia wydarł mu się z ust; posiadała ona mały ładunek, który nie mógłby zniszczyć całego domu. Całkowite spłócenie maszyny spowodowałoby tylko śmierć Toma Willsa i zniszczenie kilku sprzętów, ale reszta pozostałaby nietknięta.

Pomyślał o mechanicznej lokomotywie Mickey-Mouse'a.

— To jest to samo, co miało miejsce u p. Laurencji Smiles, — powiedział do siebie półgłosem. — Gdyby jej macek uruchomił swoją zabawkę, przy pierwszym ruchu sprzętyny zostałby rozerwany na kawałki przez eksplozję, ale sąsiednie domy nie poniosłyby najmniejszego szwanku. Zbrodniarz, który uplanował to wszystko, jest mistrzem w kalkulacji, wydziela dawki przerażenia i śmierci, ale jak mądrze!

Jak Czerwona Dama weszła do domu Troye'ów? Detektyw zadał sobie to pytanie tylko formalnie, gdyż tak samo dostał się tam w biały dzień szpieg z lornetką, podczas, gdy Dickson obserwował bez przerwy fasadę domu.

Na nocnym stoliku zamigotała lampka. Detektyw ujął słuchawkę telefoniczną:

— Hallo, kto mówi?

— Tu Scotland Yard, Mr. Dickson. Otrzymałszy następujący komunikat: Mr. Dickson proszony jest o natychmiastowe przybycie na obiad do pani Emmy; nie może ona podać przyczyny swego zaproszenia, ani dłużej rozmawiać.

— Do stu diabłów! — zaklął detektyw, czując jakieś nowe nieszczęście, grożące „Małej Francji”. — Hallo, inspektorze, skąd ten komunikat nadano?

— Dowiadaliśmy się natychmiast w centrali: pochodzi on z garażu naprzeciwko i szef jego prosi, aby się pan tam udał bezzwłocznie.

Tom Wills podniósł firanki i spojrzął na ulicę:

— Strażnika nie ma na posterunku — rzekł.

— Chodźmy! — rzekł jego mistrz.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Drzwi garażu otwarte były naoszczędnie, dwie duże lampy oświetlały hall, gdzie stało kilka wozów bez żadnego dozoru.

— Zdaje mi się, że o tej porze często sam Ben Waters był na posterunku, — powiedział Tom Wills.

Harry Dickson bez słowa skierował się w stronę biura. Drzwi były nawpół uchylone. Ben Waters siedział przy biurku z głową jakoś śmiesznie zwisającą na ramię.

— Boże! — szepnął detektyw — zupełnie tak, jak ten nieszczęsny Whitney!

Z rany zabitego płynęła jeszcze krew: morderstwo dokonane zostało zaledwie przed chwilą.

— Podczas, gdy my byliśmy tu naprzeciwko — mruknął Dickson.

— A Whitney, gdy pan był w pokoju, o piętro wyżej! — dodał Tom.

Harry Dickson ujął ebonitową tubkę telefonu, oglądał ją przy pomocy swojej silnej lupy. Morderca jednak wyczyścił ją dokładnie kawałkiem skóry wiel bładziej, nie było więc żadnego odcisku palców. Detektyw był pewny, że nie znajdzie śladów również na innych przedmiotach.

Zawiadom Scotland Yard, Tomie, — rzekł, a gdy to zostało wykonane, szepnął, patrząc na ciemną fasadę przeciwległego domu:

— Zobaczmy teraz, co nas czeka u p. Emmy!

„Mała Francja” pogrążona była we śnie; dom p. Collard był cichy, milczący i ciemny, jak wszystkie pozostałe domy. Tom Wills zadzwonił z całej siły, lecz nikt się nie odezwał.

— Jeszcze raz, Tomie, — rozkazał mistrz.

Hałas nappełnił cichą uliczkę i sąsiednie okna powtórzyły się.

— Co się stało? — zapytał przerażony głos p. Laurencji, a po minucie pytanie to powtórzyła p. Ewelina i p. Lafutte.

— Nie kładźcie się już spać, — powiedział Harry Dickson, — możliwe, że będziecie mi wszyscy potrzebni. Zdaje mi się, że coś nie jest w porządku u p. Emmy. Tom, wytrychy!

Ale rygle były zasunięte i trzeba było wyważyć drzwi. Z daleka zadźwięczały syreny policyjnego samochodu i wkrótce cała brygada inspektorów była na miejscu.

— Trzeba przeszukać całą dzielnicę i zatrzymać wszystkie osoby znajdujące się w pobliżu, — rzucił im detektyw, — chociaż myślę, że nic ważnego nie znajdziecie. Hallo, sierżancie, niech pan uderzy się kiera w te drzwi!

Drzewo rozleciało się w kawałki i detektywi weszli do korytarza.

— Hallo, czy jest tam kto? — zawołał Harry Dickson — pani Emmo!

Przez chwilę panowało milczenie, po czym odezwał się jakiś okropny jęk i niemal zwierzęce wycie; mężczyźni zatrzymali się na chwilę.

— To słychać z dołu, z kuchni, — oświadczył drżącym głosem Tom Wills. — Mój Boże, przed jaką nową okropnością znajdziemy się za chwilę!

Jeden z detektywów podszedł do drzwi kuchennych, pchnął je i przekreślił wyłącznik elektryczny.

Wciśnięta w róg pokoju, leżała jakaś postać ludzka. Na ich widok zwróciła ku nim płonące, rozszerzone nieludzkim przerażeniem oczy i z ust jej wydarł się znów straszny, nieprzytomny krzyk.

— Boże! — szepnął detektyw, nie panując już nad sobą — to pani Emma! Ona... ona postradała zmysły!...

Mickey Mouse ma wizje

Troye'owie powrócili do domu na prośbę Harry Dicksona; czuł on potrzebę kogoś zaufanego w obrębie „Małej Francji”. W kilka dni po potrójnym dramacie, detektyw, jego uczeń i Gaston siedzieli w salonie, zastanawiając się nad sytuacją. Harry Dickson jest, jak dotychczas, pokonany, ale zaprzy-

ślągił sobie, że będzie miał, jak zwykle, ostatnie słowo w tej sprawie.

— Jeśli będziesz szedł drogą eliminacji, Dickson, — rzekł Gaston Troye, — to jest nas jeszcze tylko pięcioro w „Małej Francji“, których można podejrzewać. Ja i moja żona, p. Ewelina, p. Laurencja i stary p. Lafutte. Ciągłe przecież twierdzisz, że zbrodniarz przychodzi od wewnątrz, a nie z zewnątrz!

— I wszyscy pięcioro posiadają wystarczające alibi, aby dowieść, że nie mogą być sprawcami jednej z tych kilku zbrodni! — dodał Tom Wills.

Detektyw potwierdził te słowa.

— Muszę powrócić do mej starej teorii o wielkim cieniu, — oświadczył. — „Zegarmistrze Śmierci“, którzy zamieszkiwali to miejsce pod koniec swej egzystencji, znów, zdaje się, powrócili. Oczywiście odrzucam wszelkie myśli o działaniu pozagrobowym i mogę przypuszczać tylko jedno: jakiś zdolny osobnik, piekielnie sprytny, działa pod wpływem tych bandytów, którzy zginęli przed wielu laty. Przejął ich metody, nawet przyswoił sobie popularną sylwetkę „Czerwonej Lilith“, którą ja sam widziałem, wiszącą na szubienicy w Newgate. Takie wypadki nie są rzadkie w rocznikach kryminalistycznych; możnaby rzec, że „wielki cień“ kraży przez lata lub wieki po miejscach, niegdyś należących do niego; że w pewnym momencie spada, jak niewidzialna bestia na jakąś słabą jednostkę i czyni z niej swe narzędzie.

— A więc rodzaj reinkarnacji? — zauważył Gaston.

— Możesz to i tak nazwać. Powiedz mi, od czasu, jak tu mieszkasz, czy mówił ktoś z twoich sąsiadów o tych starych historiach?

— Tak, jeden tylko i to właśnie nieszczęśliwy Bob Taupin, który padł, jako pierwsza ofiara.

— A jego żona? — zapytał detektyw.

— Słuchała go, przypuszczam, aby mu zrobić przyjemność. Gdyby Bob interesował się historią jaskiniowców, Ewelina byłaby entuzjastycznie nastrojona wobec troglodytów prahistorycznych!

Pani Irena słuchająca dotychczas spokojnie zabrała nagle głos:

— W wypadku takim, jak ten, nie możemy nic zachować dla siebie — rzekła, — Pytam więc, dlaczego p. Laurencja biła wczoraj Mickey-Mouse'a, „gdyż powinien milczeć“.

Gaston wzruszył ramionami.

— Głupstwa, — rzekł — banialuki, przywidzenia dziecka źle wychowanego i tchórzliwego, oto wszystko. Nie przywiązuję żadnej wagi do tego, co mówił ten chłopiec.

— Nie można nigdy wiedzieć — rzekł Harry Dickson, — bądźcie łaskawi powiedzieć mi, o co chodzi.

— Żona moja — rzekł inżynier — słyszała, jak Mickey-Mouse mówił, że jakieś wstrętne głowy ciągną go za język, gdy sam leży wieczorem. Ale nie zapominaj, że Mickey-Mouse jest sprytny i nie lubi kłaść się spać, gdy dorośli nie śpią jeszcze.

— Pójdę z wizytą do jego szanownej matki — oświadczył detektyw.

Zastał p. Laurencję zajęta przeglądaniem żurnala mód. Była bardzo zaambarasowana, gdy wyjaśnił cel swojej wizyty.

— Ten mały smarkacz wpędzi mnie do grobu! — rzekła — wcale nie wierze w te jego wizje!

Harry Dickson wziął Mickey-Mouse na kolana.

— Opowiedz mi coś o tych wstrętnych głowach,

— poprosił — i powiedz mi, gdzie je widzisz; ja je porządnie zbiję, a gdy będą cię dalej straszyć — zetnę je!

— O, właśnie! — krzyknął chłopiec, — niech pan weźmie ten duży nóż z kuchennego stołu... proszę poczekać, zaraz go panu przyniosę!

Wrócił po chwili, wymachując olbrzymim, kuchennym nożem.

— Niech pan to weźmie i obetnie te wstrętne głowy!

Harry Dickson uśmiechnął się i, w obawie, że chłopiec się skaleczy, odebrał mu nóż z ręki. Lecz spojrzenie jego spoważniało, gdy spoglądał na błyszczące ostrze.

— Czy pani zabijała kury tym nożem, pani Laurencjo? — zapytał.

Młoda kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

— Ja rzadko posługuję się nożem — odpowiedziała. — Jest on niebezpieczny i niepraktyczny, a Mickey-Mouse będzie ukarany za to, że wziął go bez mego pozwolenia!

— A jednak są na nim ślady krwi — rzekł Harry Dickson.

— Krew na moim kuchennym nożu? — przełękła się p. Smiles.

Zbliżyła się do detektywa, spojrzała na ostrze i oczy jej napełniły się przerażeniem.

— To jest niemożliwe! — jęknęła. — Ten nóż służy tylko do krajania chleba! Powtarzam panu, Mr. Dickson, że używam go bardzo rzadko!

— Ta krew jest względnie świeża, — mruknął detektyw. — Muszę zabrać z sobą ten nóż, pani Laurencjo!

Pani Laurencja uczyniła gest rozpaczy.

— Nic już nie wiem! — mówiła. — Byliśmy tacy spokojni i szczęśliwi tutaj i oto wszystko się zmieniło! Ten nicpoń Mickey widzi głowy, wykrzykiwające się do niego. Już ja go nauczę mieć takie przywidzenia! Jeżeli nie chciałam, aby on coś mówił, Mr. Dickson, to tylko dlatego, że bałam się tego straszego przesłuchiwanie, do którego detektyw jest przyzwyczajony, lecz obcym szarpie to okropnie nerwy!

Łkała, wyraźnie zdenerwowana. Harry Dickson obserwował ją spokojnie. Była to drobna, jasna kobieta, delikatna i elegancka, o twarzy już trochę zniszczonej, lecz noszącej jeszcze ślady wdzięku i piękności. Wszystko w niej wskazywało osobę nerwową, skłoną do uniesień.

— To z pewnością nie jest temperament kryminalistki — powiedział sobie detektyw.

Mickey-Mouse począł zdradzać zniecierpliwienie. Od czasu, gdy przyniósł nóż z kuchni, czuł się osobistością niesłuchaną ważną.

Harry Dickson spojrzał na niego.

— A teraz poproszę pana Mickey, aby pokazał mi miejsce, gdzie pojawiają się jego „wizje“.

Chłopiec spiesznie zaprowadził detektywa do dzieciennego pokoju.

— To tam one przychodzą, te wstrętne! — rzekł pokazując ściane naprzeciw siebie. — Jakież one są brzydkie i złe!

Twarz detektywa znieruchomiła.

Na tapecie i na ramie łóżka zasychały kropelki oliwy.

— Oliwa z maszyny do szycia! — krzyknął. — Cóż to może znaczyć?

I znów przypomniał sobie dawnych „Zegarmistrzów Śmierci“. Podobną oliwą smarowane mecha-

nizmy maszyn piekielnych, takich jak ta, którą zniszczył przed kilku dniami. Widmo zbrodni coraz bardziej prześladowało jego umysł.

— Panie Dickson, — rzekła p. Laurencja w chwili, gdy żegnał się z nią. — postanowiłam wyjechać stąd. Mam rodzinę w Szkocji i osiedle się tam na stałe. Przyznam się panu, że nie będę żałowała zbyt mocno „Małej Francji”. byłam tu jakby biedną krewną i to mnie czasem niecierpliwilo. Troye'owie utrzymują dystans między sobą a innymi i chętnie dają innym odczuć, że mają pieniądze. Ewelina jest egoistka, która żyje tylko dla siebie. Nie ma już także Emmy, która była moja jedyna przyjaciółką i powiernicą. Jednego, którego będę żałowała z całego serca, to kochanego p. Lafutte'a, chociaż od czasu ostatnich dramatów, biedny staruszek stał się smutny i mało rozmowny! Znajduje ukojenie w swej sztuce i nic go nie obchodzi poza skrzypcami i fletem!

★

— Jak to ładnie że przyszedł pan pożegnać mnie przed odjazdem, Mr. Lafutte — płakała p. Laurencja.

Stary artysta, który przyszedł złożyć jej ostatnią, pożegnalną wizytę w dniu wyjazdu uśmiechnął się i zaczął odpakowywać wielkie pudło słodyczy.

— Mickey-Mouse będzie z pewnością zadowolony, — rzekł — proszę spojrzeć!

— To doprawdy za piękne dla tego smarkacza, wcale nie zasługuje on na to, dostał bicie dzisiaj rano, taki się zrobił zły i niegrzeczny!

— Źle wychowuje pani chłopca, Laurencjo — rzekł poważnie staruszek — nie powinna pani karać go tak surowo, trzeba być trochę dla niego łagodniejszą.

— Zbyt młodo owdowiałam, — rzekła smutnie p. Laurencja, — chłopcu brak ręki ojcowskiej, oto cała prawda! — I spojrzała z ukosa na pana Lafutte'a.

Pan Lafutte miał jednak ładny majątek, wiedzieli to wszyscy, i pani Laurencja żywiła skrytą nadzieję, że pewnego dnia zostanie jego żoną.

— Jestem zupełnie samotna, — ciągnęła dalej żałośnie.

— Ja też jestem samotny, — pocieszał ją p. Lafutte.

— Och, nie jest pan jeszcze stary, panie Piotrze — ożywiła się wdowa — i znam jeszcze dużo miłych kobiet, które byłyby dumne, mogąc nazwać pana swoim mężem!

Staruszek zafrasował się.

— Pani Laurencjo, — zaczął, — pani wie, ja jestem taki nieśmiały.

— Nieśmiałość może spowodować tragedię, — odparła żywo młoda wdówka i policzki jej zaróżowiły się.

— Nie wiem, czy ośmieliłbym się.

— Ależ śmiało, p. Piotrze, śmiało! — zawołała p. Laurencja.

— Jej żaloba jest jeszcze zbyt świeża... — wymamrotał p. Lafutte.

— Nie rozumiem pana! — rzekła p. Laurencja ostrym tonem, a spojrzenie jej stało się twarde jak stal.

— Nie śmiałbym powiedzieć p. Ewelinie...

— Ach tak! Doskonale, p. Piotrze Lafutte! Rozumiem pańskie zamiary!

Ten potrzęsnał jednak smutnie głową i zdawał się nie dostrzegać, że złamał serce uczulowej Laurencji.

★

Tegoż dnia, po wyjeździe p. Laurencji, Harry Dickson otrzymał wynik badania jej noża kuchennego. Brzmiał on następująco:

— Krew, pokrywająca część ostrza, jest krwią ludzką, agenta Whitney'a. Będąc bowiem w kolonach przechodził on malarię i mikroby jej pozostały we krwi. Ślady palców, pozostawione na trzonku są to ślady...

Harry Dickson gwizdnał przeciągłe. Był on na tyle przezorny, że zaostrzył się w odciski palców wszystkich mieszkańców „Małej Francji”.

— A więc były to odciski palców pani Eweliny Taupin!

Detektyw skoczył do auta.

— Do „Małej Francji”, Tom! — rzucił uczniowi rozkaz

Po kilku minutach zatrzymali się przed domem wdowy Taupin. Tom Wills szarpnął dzwonek — nikt się nie zjawił. Z drugiej strony ulicy ktoś zawołał na detektywa.

— Przed godziną prawie wróciła do domu, — oświadczył następca Bena Watersa — i nie wyszła więcej; jestem tego pewny, gdyż nie ruszyłam się stąd ani na krok.

Harry Dickson nie wahał się; otworzył wytrychem drzwi, które łatwo ustąpiły. Wraz z Tomem zabrał się do przeszukiwania domu od piwnicy do poddasza, lecz nie znalazł śladu p. Eweliny.

— To komplikuje sprawę, — rzekł w zamyśleniu. — Musimy ją tu jednak odnaleźć.

Były to jednak puste słowa, gdyż noc zapadła i nie odnaleziono jej. Przetrzęsnięto także sąsiedni pusty dom p. Emmy, przebywającej w sanatorium oraz drugi opuszczony dom p. Laurencji. Poszukiwania nie dały rezultatu. Pani Ewelina znika.

W umyśle Harry Dicksona kiełkowała myśl.

Grom z jasnego nieba

Był to naprawdę grom z jasnego nieba nieoczekiwany i przerażający. Tajemnica „Czarnej Damy” wyjaśniła się w zdumiewający sposób.

Harry Dickson został wezwany w nocy do telefonu. Telefonował Gaston Troxe z garażu i mówił, że wprawdzie Piotr Lafutte stoi obok niego, ale jest nawpół żywy z wrażeń i nie może sam mówić.

— Czerwona Dama została zabita. Dickson. Przyjeźdź natychmiast!

Detektyw wyrwał Toma Willsa z głębokiego snu i kazał mu natychmiast przygotować auto do drogi.

Gdy przybyli do Poplaru, policja już tam była. Gaston Troye stał pośrodku grupy, gestykulując i rozprawiając z ożywieniem.

— To nasz dzielny Piotr Lafutte uwoinił nas od tej zmory! Niebawym człowiek! Cóż za piękny strzał rewolwerowy, Dickson!

Stary muzyk drżał jak liść i białł głośno. Uwiesił się dosłownie ramienia detektywa.

— Ja... zabić kogoś... i to kobietę!... No tak, to była zbrodniarka, ale przecież ja nie jestem mordercą, ani katem! Niech mi Bóg przebaczy! Strzeliłem przypadkiem, a strzał okazał się celny. Padła natychmiast!

— Gdzie ona jest? — zapytał Tom Wills.

— O, niech mnie Bóg broni, bym miał zobaczyć ten straszny widok! — krzyknął nieszczęśliwy starzec. — Zostawiam to wam, panowie, ale jeśli można, oszczędźcie mi tego widoku!

Skierowali się w stronę domu muzyka, który położony był na samym końcu „Małej Francji“. Po drodze p. Lafutte przerywanym głosem udzielał im objaśnień:

— Grałem Mr. Dickson, na skrzypcach, gdy wtem usłyszałem jakiś szelest w ogrodzie. Od czasu tych zbrodni umieściłem z tamtej strony domu silną lampę elektryczną, którą mogę zapalać z mojego pokoju.

Wziąłem rewolwer... O, Boże, nigdy się nim jeszcze nie posługiwałem... Otworzyłem cicho okno i zapaliłem lampę. Światło padło na nią, na Czerwoną Damę. Stała na środku ogrodu z twarzą zwróconą w stronę mego okna, a światło odbijało się w jej strasznych oczach. Podniosłem rękę i... zdaje mi się, że rewolwer sam wypalił! Przez chwilę jeszcze stała spokojnie, poczem wolno osunęła się i upadła bez życia.

Przybyli na miejsce i Mr. Lafutte drżąca dłonią otworzył im bramę.

— Ona jest w ogrodzie, lampa pali się nadal, ale ja zostanę, to byłoby zabójcze dla mnie! — błagał.

Zal było patrzeć na niego, tak był zdenerwowany i przerażony.

Bez słowa Harry Dickson, Tom, Gaston i dwaj policjanci skierowali się do jasno oświetlonego ogrodu.

— To ona, — mruknął Tom, widząc jakiś kształt na ziemi. Poznał szkarłatną suknię, jasny stanik i farbowane złote włosy. W chwili, gdy padała na ziemię, kapelusz z kwiatami zsunął się jej na twarz. Harry Dickson nachylił się i podniósł grubą woalkę. Ukazała się dziwna twarz, płaska, różowa i okrągła, z małym ciemnym punktem zamiast nosa.

— Maski! — zawołał detektyw.

Była tak silnie przymocowana, że z trudem udało się ją zdjąć. Okrzyk zdumienia i strachu wyrwał się z ust obecnych. Przed nimi leżał trup Eweliny Taupin z dużą raną od kuli na czole.

★

Świtało już, gdy Harry Dickson ukończył śledztwo. Tom Wills zauważył ze zdumieniem pionową zmarszczkę na jego czole.

— Mistrzu, — rzekł — zdaje mi się, że to rozwiązanie zagadki nie zadowoliło cię jednak.

— Masz słusność, Tomie, — odrzekł detektyw, — gdyż jest to rozwiązanie najbardziej nielogiczne i najmniej możliwe ze wszystkich, których się domyślałem.

— A więc sprawa nie jest zakończona — zapytał uczeń.

— Sprawa przedstawia się gorzej, niż kiedykolwiek — brzmiała odpowiedź.

★

Tegoż dnia jeszcze detektyw odbył konferencję w Scotland Yardzie.

— Czy znalazł już pan coś, Mr. Dickson?

— Być może... — na ustach detektywa błąkał się tajemniczy uśmiešek. Widząc zaciekawione twarze Dickson dodał jeszcze:

— Lafutte strzelał już tylko do trupa, ale nie mogę mu tego narazie powiedzieć ze względu na dobro śledztwa.

Detektywi osłupieli.

— Nie trzeba być genialnym — ciągnął — aby zauważyć, że ciało Eweliny Taupin zostało ubrane w suknię Czerwonej Damy już po śmierci; nosiła bowiem zwykle spacerowe trzewiki, a tak wyrefinowana i sprytna zbrodniarka nie zaniedbałaby tego szczegółu.

— A więc było to zainscenizowane celowo?

— Tak sądzę, lecz proszę o zachowanie narażenie ścisłej dyskrecji.

Po wyjściu ze Scotland Yardu Harry Dickson skierował się w stronę brudnych uliczek ubogiej dzielnicy Houndsditch. Po godzinie zatrzymał się przed nędznym sklepikiem pewnego handlarza. Wszedł do środka; uderzyła go woń wilgoci i brudu.

— Hallo stary Anthony! — zawołał.

— Z głębi sklepu wyszedł jakiś starzec w brudnej odzieży.

— Dzień dobry, Horster, nie poznajesz mnie, widzę!

Nie nazywam się Horster, — mruknął stary, patrząc nieufnie na przybysza.

— No, oczywiście! — odparł drwiąco detektyw — dwadzieścia pięć lat może naprawdę osłabić ludzką pamięć, ale ja ciebie dobrze pamiętam. Nazywałeś się Horster i, zdaje się, pochodzisz z Hamburga...

Lichwiarz jęknął.

— No, naturalnie — ciągnął tym samym tonem detektyw — nikt już nie będzie cię niepokoił tą starą historią o „Zegarmistrzach Śmierci“, mimo, że dostarczałeś mechanizmów...

— Ja nie wiedziałem! — krzyknął handlarz. — Byłem zegarmistrzem, ale nie znałem przecież moich klientów.

— Słusznie, ale zato zrobiłeś dobre interesy, sprzedając potem pewne rzeczy, które po nich pozostały. Są ludzie, którzy zbierają takie okropności, prawda?

Odpowiedział mu głuchy pomruk wściekłości.

— Czego chcesz, panie? — wyjąkał wreszcie Horster.

— Chcę kupić suknię Czerwonej Lilith! — brzmiała odpowiedź.

— Nie mam jej już! — zawołał handlarz. Spozstrzegł że palnął głupstwo i poprawił się:

— Nie miałem jej nigdy, przysięgam!

Znów fałszywa przysięga, Horster. Uważaj lepiej: czy możesz odnaleźć to, czego szukam.

— Niestety, ja nie znam tej pani...

— To była pani w grubej żalobie, nieprawda?

— Jeśli wie pan wszystko, pocóż mnie pan pyta — wybuchnął stary lichwiarz.

Nagle wzrok detektywa padł na mały przedmiot, leżący w skrzyneczce z biżuterią. Był to łańcuszek bardzo starej, precyzyjnej roboty. Harry Dickson znał go: zauważył go na rece Eweliny podczas pierwszej wizyty w „Małej Francji“. Ale to nie było wszystko. Obok skrzyneczki leżał mały, oprawny w skórę egzemplarz biblii, a na haku na ścianie wisiała długa sutanna pastora.

— Horster, — zawołał detektyw — powiedz mi całą prawdę, a kara będzie ci zmniejszona, dając ci na to słowo Harry Dicksona!

Horster jęknął głucho i widać było, że zalał się zupełnie.

— Harry Dickson! — wyszeptał.

— A więc bawiłeś się w pastora, Horster, i połączyłeś węzłem małżeńskim panią w żalobie i... jego. Sądzę, że zapłacisz za to ciężkim więzieniem! Lichwiarz zakał.

— On był już u ciebie przedtem, aby zakupić kilka rzeczy — ciągnął nieubłaganie Dickson — a między innymi suknię Czerwonej Lilith. Nosił czarne okulary, a ona gęstą woalkę, abyś nie mógł dojrzeć ich twarzy. Wiem nawet więcej... — rzekł i nachyliwszy się szepnął parę słów handlarzowi do ucha.

— Tak, tak! — krzyknął Horster — ale błagam pana, niech mnie pan nie wyda!

— Nie obawiaj się, stary, przyrzekam ci to. Harry Dickson, pogwizdując, wracał do domu.

Był na drodze do zwycięstwa.

Tajemnica dziwnych skrzypiec

Harry Dickson posłał do swego przyjaciela Gastona Troye kartkę o następującej treści:

— „Zapraszam się do ciebie na dziś wieczór wraz z Tomem Willsem możliwe, że przyjdzie jeszcze ktoś, lecz nie poczęstujemy go herbatą, którą nam chyba przygotowuje pani Irena.

P. S. Zaproś także p. Lafutte'a.

Tom Wills spędził większą część tego dnia w „Małej Francji“ i powrócił z wiadomościami które wprawiły mistrza w dobry humor i stały się przyczyną tej zapowiedzianej wizyty.

Harry Dickson i jego uczeń przybyli do Troye'ów o zmierzchu; detektyw miał ze sobą walizkę którą zaraz odstawił na bok i zabronił jej dotykać.

— Mr. Lafutte nie przyjdzie, — rzekła pani Irena — jest bardzo przygnębiony ostatnimi zajęściami. Wyznał mi w zaufaniu, że kochał skrycie Ewelinę i nawet chciał ją poślubić.

— Biedak, — odparł detektyw.

Zasiedli do stołu.

— Niech pani dokładnie zamknie kurek od gazu, pani Ireno! — powiedział nagle Harry Dickson.

Madame Troye zdziwiła się, lecz usłuchała natychmiast. Zaczęto jeść kolację; przez okno doszła ich uszu smutna melodia.

— Pieś Schuberta, — rzekł detektyw — posłuchajmy jej.

Przez chwilę słuchali w milczeniu. Nagle Harry Dickson podniósł rękę:

— Proszę o zupełny spokój cokolwiek się zdarzy, nie wolno się wam poruszać, ani odezwać. Jeśli nawet ja coś do was powiem, niech mi nikt nie odpowiada. Czy rozumiecie?

Obecni potwierdzili; zaległa cisza, zakłócona jedynie dźwiękami Stradivariusa. Nagle spojrzenia wszystkich zwróciły się w stronę Harry Dicksona.

Ktoś chodził na piętrze nad ich głowami!

Detektyw ruchem ręki nakazał spokój.

Ktoś schodził teraz swobodnie po schodach.

— Och, — rzekł nagle sennym głosem detektyw — jak tu duszno! Czy wy wszyscy śpicie?

Kroki ustały natychmiast poczem tajemniczy gość szybko wrócił na górę. Harry Dickson uśmiechnął się. Sięgnął po walizkę i w dwóch susach znalazł się w kuchni. Wyjął z torby podróżnej rodzaj metalowej pompy, zaopatrzonej w grubą, gu-

mową rurę, którą założył na kurek gazowy i szybko wprawił pompę w ruch. Słupek rtęci na manometrze zadrgał, i zaczął podnosić się w górę. Detektyw pompował zaciekle, pot perlisty wystąpił mu na czoło: w końcu rtęć doszła do końca i praca była skończona.

Z głębi walizki Dickson wyjął cztery małe maski gazowe, które rozdał towarzyszom.

— A teraz chodźcie na strych, — rzekł — pokażę wam coś ciekawego.

Weszli na górę. Drzwi od strychu były uchylone. Harry Dickson pchnął je i zapalił światło.

W rogu nad podłogą ujrzeli wąski, poziomy otwór.

— Zawsze podejrzewałem, że istnieją tutaj tajemne przejścia, lecz szukałem ich pod ziemią. Nie sądziłem, że mogą istnieć zasuwane drzwi na piętrze. Jest to pomysł bardzo sprytny w swojej prostocie.

Prześlizgnęli się przez wąskie przejście.

— Jesteśmy w domu p. Emmy! — mruknął ze zdziwieniem Gaston.

Harry Dickson skierował lampkę na przeciwległą ścianę: ujrzeli w niej identyczny otwór. Przeszli w ten sposób przez opuszczony dom zmarłych małżonków Taupin i zatrzymali się w domu p. Laurencji.

— Odpocznijmy tu chwilę, — rzekł Harry Dickson, — zanim wejdziemy do domu p. Lafutte'a.

— Przestraszymy biednego staruszka, — rzekł Gaston.

— Nie szkodzi — odpowiedział zagadkowo detektyw.

Z domu starca dochodziły dźwięki skrzypiec.

— Patrzcie, i tu przejście jest otwarte, — zawołał znów Gaston — oby tylko nie przytrafiło mu się nic złego!

Znajdowali się w domu Lafutte'a. Harry Dickson otworzył drzwi strychu. Białe światło sączyło się z dołu.

— Uważajcie teraz dobrze na wasze maski! — powiedział detektyw — możecie rozmawiać, lecz nie zdejmować ich. Za mną!

Zeszli na dół; nagle okrzyk przerażenia wydarł się z ust pani Ireny:

— Patrzcie! To Monsieur Lafutte! Czy on już nie żyje?!

Piotr Lafutte leżał rozciągnięty na pierwszym stopniu schodów. Twarz jego była nieruchoma, oczy przymknięte.

— Nie, — odparł detektyw, — on śpi.

Wtem, ku zdumieniu wszystkich, z pokoju znów odezwały się tony skrzypiec. Harry Dickson jednym susem dopadł drzwi i otworzył je. Oczom jego ukazał się dziwny widok: na środku pokoju skrzypce grały same. Na stoliku obok stała inna maszyna, która wprowadzać miała w ruch klapki klarnetu, podczas, gdy na obracającej się płycie kręciła się wycięta z kartonu sylwetka, rzucająca na firanki cień, do złudzenia przypominający postać p. Lafutte'a.

— Oto wyjaśnienie wielu rzeczy, moi przyjaciele, — rzekł triumfująco Harry Dickson: — Piotr Lafutte, sprawca tych wszystkich zbrodni śpi na razie; kiedy jednak obudzi się, będzie się już znajdował w celi więzienia Newgate!

Z notatnika Harry Dicksona

Oto kilka uwag, krótkich i zwięzłych, które napisał Harry Dickson, w swym notatniku w związku ze sprawą Piotra Lafutte:

— Z informacji, których zaczerpnąłem w rodzinnym mieście Piotra Lafutte'a, dowiedziałem się, że zdobył on swój majątek, konstruując pomysłowe aparaty do muzyki mechanicznej. Oddawały one grę najlepszych wirtuozów dzięki kombinacjom sprężyn i kótek.

Lafutte dowiedział się, że poprzedni mieszkańcy „Małej Francji” mieli złą sławę. Zwrócił zwłaszcza jego uwagę fakt, że nazywano ich „Zegarmistrzami Śmierci”. Czytając opisy ich zbrodni, nabrał dla nich podziwu. W swojej wyobraźni uczynił z nich bohaterów. Chciał ich znów wskrzesić i zapłonął jak gdyby pośmiertną miłością do „Czerwonej Lilith”.

Wielki cień ogarnął go i już nie uwolnił.

Gdy odkrył przypadkiem tajemne przejścia, uwierzył, że to znak od jego zmarłych bohaterów; poszedł ich zgubnymi śladami. Odnalazł pasera tych dawnych bandytów i odkupił od niego, między innymi, także maszynę do gazu usypiającego. Aparat przypadkowo zawierał jeszcze sporą ilość gazu, który nie stracił na swej sile.

Spróbował najpierw na małżonkach Troye, których się obawiał. Połączył rury gazowe ze swoim mieszkaniem i pracował cierpliwie podczas nieobecności sąsiadów. Nie myślał jeszcze o morderstwie, ale chciał wzbudzić atmosferę niepokoju tajemnicy. Dla przyjemności psuł co pewien czas samochód Gastona Troye.

Później zaczął bawić się umieszczaniem w rogach sufitów figurek z drzewa o wykrzywionych, dziwnych twarzach. Figurki te, poruszając się, tryskały trochę oliwą, którą obficie przesycone były sprężynki ich mechanizmów.

Śmierć Boba Taupina.

Postanowił wypróbować swoje figurki na Bobie Taupin, ale chce uczynić to z odległości. Zdumiewający mechanizm zegarowy wprawiał w ruch aparaty nawet w czasie jego nieobecności. Był on rzeczywiście w teatrze z paniami. Nikt nie mógłby go podejrzewać.

Ale wiedział on dobrze, że Bob Taupin spał snem kamiennym. Trzeba go więc obudzić. Sznurek połączony z śpiącego, a w chwili obudzenia ujrzy on nad sobą wykrzywioną figurkę, potrząsającą sztyletem.

Bob budzi się rzeczywiście, ale sądzi, że to mucha chodzi po nim, odgania ją i tym ruchem pociąga sznurek; ten zaś, gwałtownie szarpnięty, cdrywa sztylet od mechanicznego potworka. Ostrze nie ma rękojeści, gdyż jest tylko lekko przymocowane do drewnianej ręki. Sztylet spada i, tragicznym przypadkiem, trafia Boba w samo serce. W krótkiej agonii otwiera on jeszcze oczy i spostrzega nad sobą twarz o odrażającym grymasie.

Śmierć agenta Whitneya.

Piotr Lafutte wraca do domu, sprawdza mechanizmy, które uruchomił z odległości za pomocą silnej baterii elektrycznej. Wtem spostrzega defekt: teraz figurka powinna zniknąć z sufitu, a jednak nie

chce się poruszyć. Lafutte biegnie na strych i poprzez tajemne przejście dostaje się do pokoju zmarłego w chwili, gdy agent Whitney odnajduje ohydny głowę. Przestępca nie waha się dłużej, rzuca się na agenta, zabija go i ruchem ręki wpycha figurkę z powrotem do swego domu.

Potem wraca na strych. W chwili, gdy ja wchodziłem do pokoju, chyba jeszcze nawet tam nie doszedł. Była to może kwestia jednej sekundy, aby zapobiec wszystkim innym jego zbrodniom.

Inne zbrodnie.

Krew została przelana. Lafutte będzie już szedł dalej tą drogą i nic go nie powstrzyma. Niecierpi on p. Emmy za jej paplaninę. Doprowadza ją do utraty zmysłów z przerażenia, ukazawszy jej w ubraniu Czerwonej Lilith. Jeśli jej nie zabił, to chyba dlatego, że ubranie to krępowało nieco jego ruchy! Porozmieszczał w ścianach pierwszorzędne mikrofony, dzięki czemu dobrze wiedział o obecności Toma Willsa, który o mało co stałby się ofiarą systemów dawnej bandy przestępców. Świetny strzelec, z rewolweru zabił Bena Watersa przy jego biurku i za telefonował do... Scotland Yardu.

Jego alibi było bez zarzutu: grał przez cały czas na skrzypcach, a mechaniczna sylwetka odtwarzała jego poruszający się cień na firankach. To alibi przydało mu się w wielu okolicznościach.

Sprawa z p. Ewelina jest bardziej skomplikowana; Lafutte kochał ją. Poślubił ją, a raczej zainscenizował fałszywy ślub, w każdym razie Ewelina została oszukana tym pseudo-mażeństwem.

Lecz czy była jego współniczką? Obawiam się, że tak.

Prawdopodobnie jednak nękały ją wyrzuty sumienia. Lafutte zdołał podstępem uzyskać odciski jej palców na nożu pani Laurencji; w ten sposób zdana była na jego łaskę i niełaskę. Ponadto, jeśli Piotr Lafutte byłby aresztowany i skazany, pani Ewelina straciłaby cały majątek swego morganatycznego męża. A p. Ewelina ogromnie lubiła pieniądze!

Gdy dowiedziała się, że Harry Dickson jest na jej tropie, wróciła szybko do domu i przeszła przez tajemny korytarz, aby znaleźć się w domu swego małżonka. Tu jednak napadły ją wyrzuty sumienia i z rozpaczy zabiła się; badałem jej ciało po śmierci: była w nim trucizna.

Lafutte, wróciwszy do domu, zastaje trupą żony i inscenizuje komedię, którą znamy.

A teraz co do ostatniego wieczoru w domu Gastona.

Tom Wills kręcił się cały dzień po „Małej Francji” i usłyszał ustawianie aparatów do gry skrzypiec Lafutte'a. Zbrodniarz przygotowywał się więc do działania, a mogło ono być skierowane tylko przeciw jedynemu pozostałemu członkowi licznej przedtem kolonii: przeciwko pp. Troye.

Wprowadził swój gaz usypiający do przewodów gazowych, gdyż wiedział, że pani Irena posługuje się zawsze właśnie kuchenką gazową. Ten gaz usypiający wydobywa się z przewodów bez przerwy, bez względu na to, czy płomień pali się, czy nie.

Kiedy Lafutte sadził, że już jesteśmy uspieni, zszedł na dół; powiedziałem wtedy kilka słów sennym głosem i przypuszczał on, że jakiś defekt

tymczasem wpompowałem w te same rury inny gaz usypiający, tak samo silny i gdy tylko starzec zbliżył się do swojej maszyny, został natychmiast odurzony i stoczył się ze schodów.

Ostatnia uwaga.

Piotr Lafutte był przede wszystkim ofiara at-

mosfery zbrodni, wielkiego cienia, pomimo wszystko, nie był on człowiekiem normalnym. To też nie sprzeciwiałem się wcale, gdy zamieniono mu karę śmierci na osadzenie go w sanatorium Bedlam, wielkim londyńskim domu dla obłąkanych.

Koniec.



Następny **Nr. 19 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 17-go maja zawierać będzie przygodę p. t.

MIASTO PIRATOW

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson walczy ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłudą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze **wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 9. „POSEPNA KABALA“ |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 12. „KAPIANKA OGNIĄ“ |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 14. ŻYJĄCY BUDDA |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 15. WIDMO TUŁACZA |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 16. SKRADZIONY TESTAMENT |
| | 17. DUCH ŚWIATŁA |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

szyt, stanowiący oddzielną całość

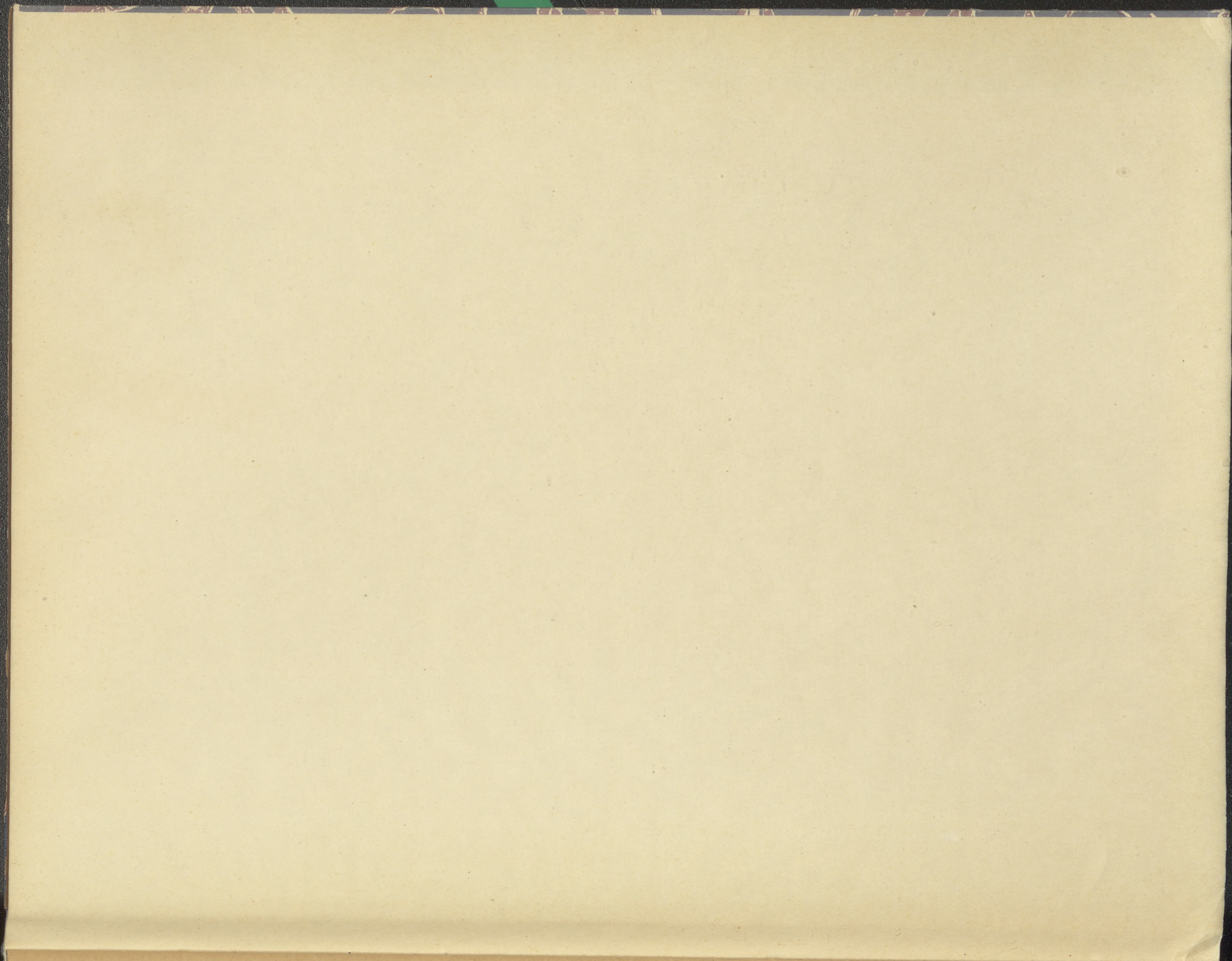
10 gr.

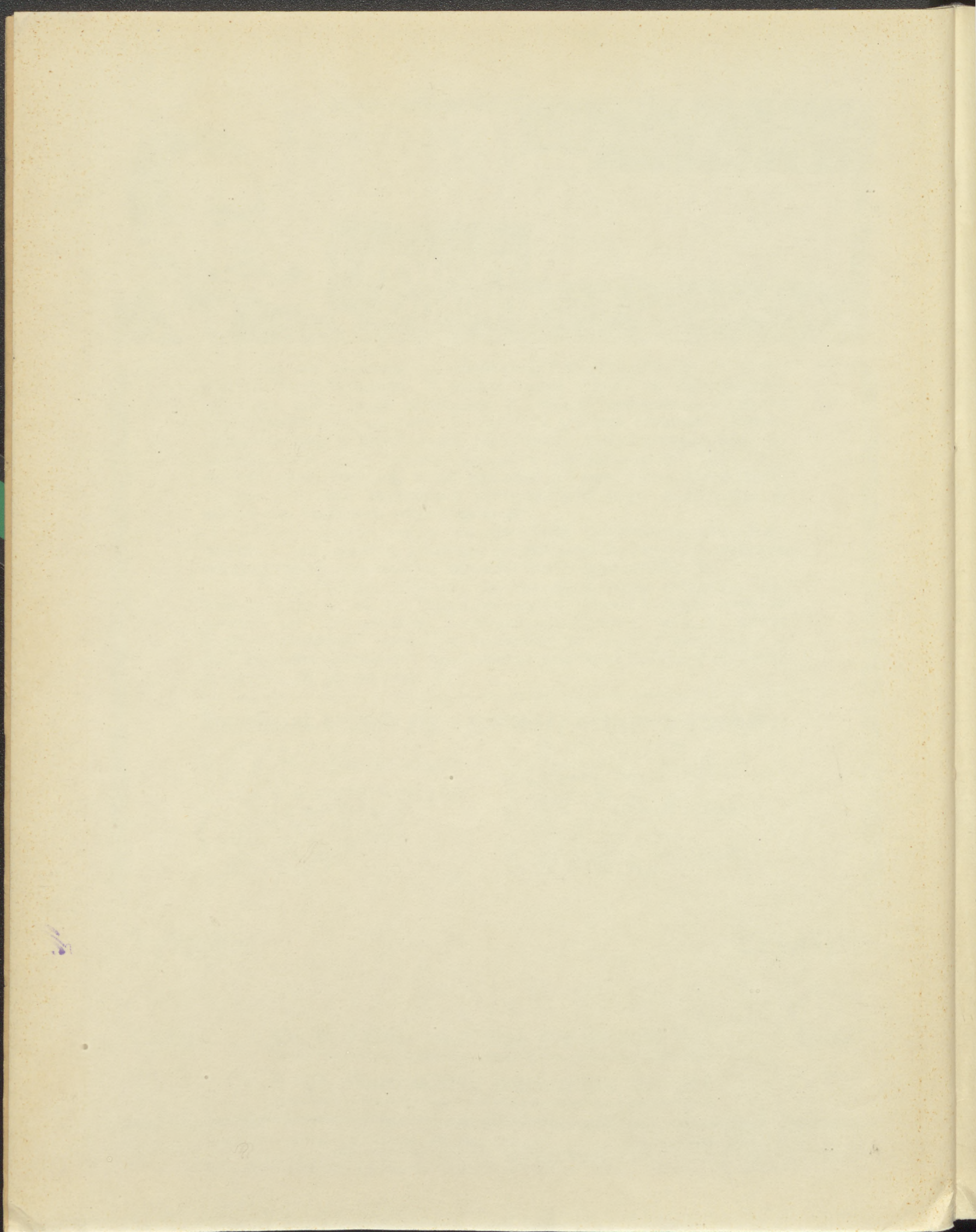
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68,148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49; tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56





Biblioteka Narodowa
Warszawa



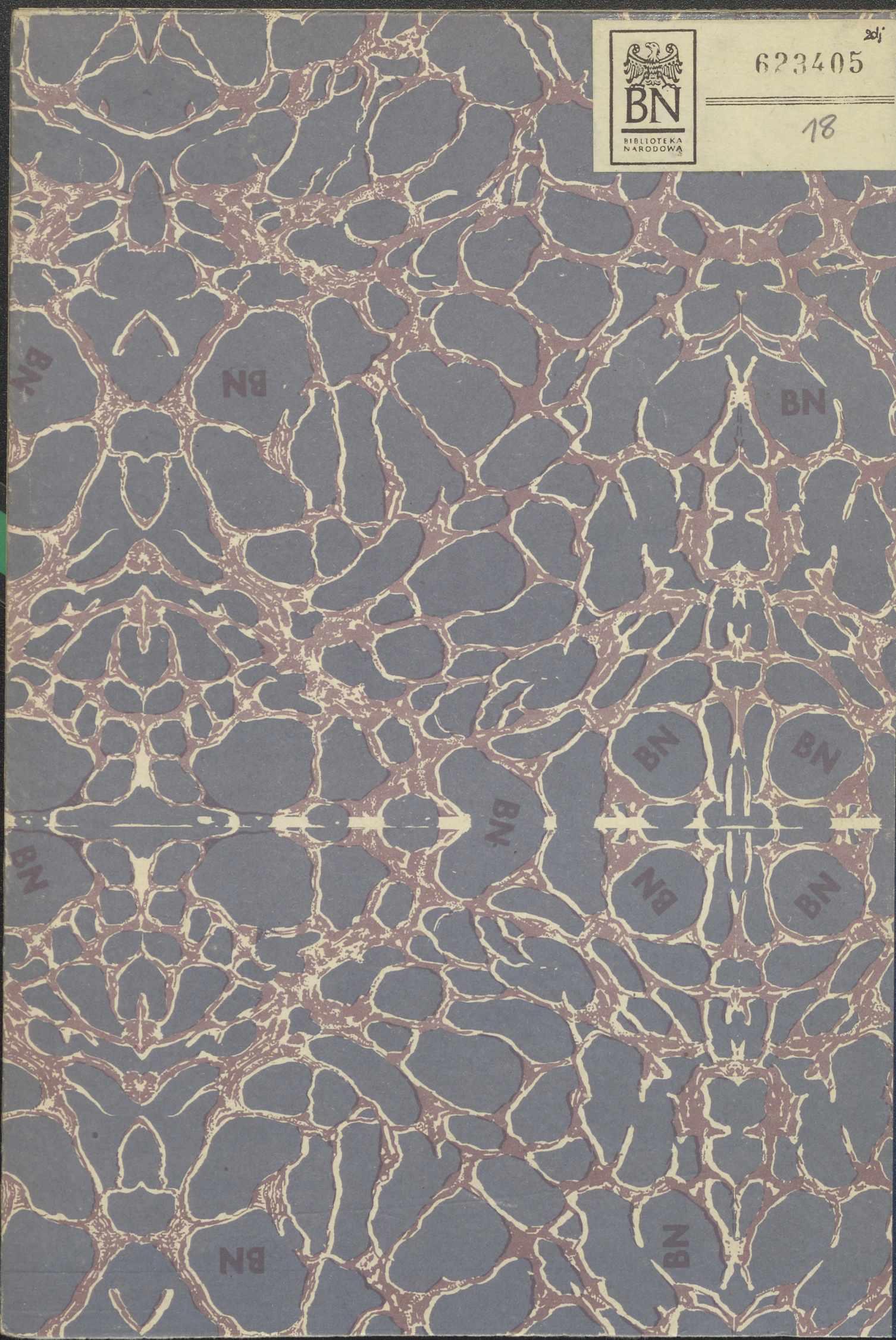
30001024365930



623405

20j

18



BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN